13,000 abonentów.

Nr. 37. Poznań, Niedziela 9-go Września 1900 r. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany

Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę;** *na poczcie w Austro-Węgrzech* **59 cent.**
Pod opaską: *w Niemczech* **1,65 mr.**, *w Austro-Węgrzech* **1 złr.**, *za Oceanem* **1 dolar.**

Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

W walce siła.

Poczciwy pan Studt odegrał wobec naszej sprawy niechcący rolę narzędzia, zapomocą którego popchnęliśmy trochę znowu naszą taczkę naprzód. Ani wiedział, ani domyślał się nawet, że podniosą się jakby spienione fale o tę „trochę polskiego" w szkołach poznańskich, — i że te wały spienione oburzenia rozleją się na całą prowincyę, na cały zabór pruski, na całą Polskę.

Właściwie powinniśmy być wdzięczni temu panu. Dawniej przecież rząd pruski rad zachowywał przynajmniej pozory prawa i stroił się w maskę bezstronności, przez co zmuszał naszych polityków do unikania ostrej opozycyi antirządowej i zmuszał ich do zalecania ludowi spokoju, nie drażnienia rządu i szerzenia apatyi narodowej. Gdy pan Studt taktykę zmienił i bezceremonialnie wystąpić chciał w roli generalnego pogromcy polskości, wtedy tem samem wywołał ruch, który tem będzie zdrowszy i zbawienniejszy, im więcej otwartości i męskości będzie go cechować.

Zaznaczmy tylko kilka najbliższych wyników ruchu, który wynikł z rozporządzenia Studtowskiego.

Rozporządzenie to zespoliło całe społeczeństwo odgłosem jednego potężnego protestu i postawiło na czele społeczeństwa — duchowieństwo, aby w łącznym i zgodnym szyku bojowym bronić ojczystej wiary i narodowości.

Rozporządzenie Studta jeszcze bardziej obniżyło wiarę — i tak niską — w wartość królewskiego słowa i królewskich poręczeń. Wszakże to Wilhelm II rozporządził, aby w szkołach odbywała się fakultatywna nauka języka polskiego i religii — a dziś minister Studt bez ceremonii dekretuje właśnie przeciwnie. Jeśli niegdyś Fryderyk Wilhelm IV mógł mówić Polakom: *„nie boję się waszych rozruchów, bo lud prosty jest do mnie i do mego domu przywiązany i uważa mnie za swego monarchę* to dziś monarcha obdarzony nawet tak potężną fantazyą i proroczym darem — jak Wilhelm II — nie mógłby po obecnych rozporządzeniach nikomu i w żadnej mowie twierdzić, że lud polski nabiera dla niego przywiązania, tego mianowicie przywiązania, które królowie uważają za podwaliny swych tronów. Prosty lud, czyniąc za wszelkie swe krzywdy odpowiedzialnym rząd, odpowiednio do tego modyfikuje swe stanowisko też wobec dynastyi panującej. Dziś coraz częściej napotkać można objawy, świadczące, że wskutek ustawicznie kujących się praw wyjątkowych, rozbudzony lud nasz sam już teraz mierzy stosunek swój i do panującego domu Hohenzollernów i do państwa pruskiego. Całej zaś kreacyi bismarkowskiej, i całego postępowania pruskiego, jako krzyżackiego, nienawidzi i wyczekuje chwili, kiedy w ten system pogwałcenia trzaśnie z niebios piorun kary boskiej. Bo też w istocie na tej biurokratyczno-krzyżackiej maszynie państwowej pruskiej ciężą już łzy, gorzkie łzy matek, wyciśnięte w chwili, gdy przez usta ich dzieci zamiast modlitwy ojców przeszło po raz pierwszy *Vater unser.* Od takich łez rdzewieją i pękają kółka maszyn państwowych. — Prusacy nie pamiętają o tem, — tem lepiej dla nas; niech więc lud nasz się chowa w nienawiści do wszystkiego, co pruskie, niech pozna gorycz wydziedziczenia, a tem goręcej, tem serdeczniej pokocha język praojców i tem silniej pożądać będzie powrotu do swej ojcowizny.

Lecz spojrzmy dalej. Jest jeszcze jeden kierunek, w którym rozporządzenia Studta wywołają silną akcyę: a tym jest prąd rusofilski, coraz silniejszy w naszem społeczeństwie. Coraz częściej, coraz głośniej będziemy słyszeć życzenie: *ach, gdyby to nas los kiedy złączył z Królestwem, choćbyśmy się mieli dostać pod panowanie rosyjskie!*

Rosyanie, spoglądając na to, mogą zacierać ręce z radości i słusznie: *bo tu, w prowincyach polskich, Prusy bez wojny rok rocznie tracą tylu poddanych ilu ich w wojnie na-*

wet nie padnie. Oni sobie sami tworzą z nas zawziętych wrogów, z których — jeżeli system rządu się nie zmieni, żaden nie wyciągnie nawet małego palca, gdyby podaniem ręki miał kiedyś uratować Prusaków.

Wychowujcie sobie takich poddanych, panowie hakatyści, ale dużo, dużo! Będą oni wam z czasem wisieć jak kamień u szyi topielca, aż na dno pójdziecie!!

Jeszcze jeden punkt warto tu poruszyć — a tym jest wzrastająca wskutek prześladowań łączność pomiędzy mieszkańcami wszystkich dzielnic Polski. Już zauważył Śląsk i zauważyły Prusy Zachodnie, że po odebraniu resztek „ustępstw“ rządowych Poznańskie zrówna się z całym zaborem i pozbędzie się tego prowincyonalizmu, który dotychczas najczęściej stał na przeszkodzie wspólnej łączności. Lecz, co ważniejsza, te wynaradawiające tendencye pruskie połączą nas i z dalszemi dzielnicami Polski. Dotychczas każdego Królewiaka w Poznańczyku raziło to, że o pruskim domu panującym wyrażał się „nasz cesarz“, „nasza stolica (Berlin)“.

Teraz i te różnice prysną. Uczucie niechęci do państwa i głęboki żal do tronu, poczucie krzywd doznawanych — to wszystko najlepiej nas wszystkich Polaków połączy, wyrwie nas ze zwodniczych złudzeń, iż możliwe są jakieś lokalno-prowincyonalne ulgi i ze wspólnie prowadzonej radykalnej opozycyi utworzy szkołę życia narodowego, z której wychodzić będą *nie pruscy lub rosyjscy* Polacy — lecz *polscy* Polacy.

Niech rząd pruski kroczy dalej raz obraną drogą! Obfite żniwo z jego czynów — my będziemy zbierać, a *on koszta zapłaci.*

A wreszcie słów kilka pod adresem naszych polityków starej szkoły. Zapewne niejeden, a może wszyscy, pomyślą sobie, czytając ten artykuł: oto szereg słów nieostrożnych, które dadzą Prusakom prawo do czepiania się nas i upozorowania najnowszych repressalii.

Na to tyle odpowiadamy: jest naszem świętem przekonaniem, że w dzisiejszych warunkach elektryzująca lud cały walka z germanizacyą jest w interesie rozbudzenia ducha potrzebna i że jest stokroć lepsza niż łatana z biedą zgoda z rządem, niż zgoda z zatraceniem wiary i narodowości. — My nowych praw wyjątkowych się nie lękamy — *niech germanizatorzy raczej się lękają ich następstw!*

Niech nasza otwartość, nasze otwarte słowa prawdy wzbudzą największą wściekłość przeciwnika, niech go pobudzą do najdalej idących a nierozsądnych prześladowań polskości: *my na tem tylko zyskamy, my czujemy, że w tej walce wzrasta siła ludu polskiego;* my kwitujemy z zgody z rządem, jeżeli zgodę tę okupić mamy utratą wszystkiego, co nam najdroższe, co nam święte. Im więcej rząd nerwowy, *im więcej wyjątkowych praw ukutych — tem więcej ospałych z ocknienia się obudzi.* *Vester.*

Nasza przyszłość w Poznańskiem.

I.

Więcej niż od wieku jesteśmy pod panowaniem pruskiem; przez cały ten czas toczy się przeciwko nam walka, której ostatecznym kresem jest albo wyniszczenie nas tak doszczętne, by tu na tej naszej ziemi po nas nic nie zostało, jak tylko jakaś wieść głucha, albo zgermanizowanie nas zupełne, równające się przeistoczeniu nas Polaków w innych zupełnie ludzi, w Niemców umiejących czuć i myśleć po prusku.

Minęły już te czasy, w którychby można wystawić przeciwko zwyciężonym zbrojne hufce i kazać im wyciąć nas do nogi i rzezią stłumić ostatnie serca polskiego drgnienie — wyniszczenie nas doszczętne jest nawet dla rządu pruskiego niemożliwem: tem bardziej tenże rząd pruski sili się zniszczyć nas choć połowicznie, osłabić nasze siły materyalne, fizyczne i duchowe, a zarazem przydusić każdy objaw polskiego życia i zmienić nas w pruskich Niemców. Walka ta nie od dziś i nie od jednego wieku dopiero się toczy, ale jest ona dalszym ciągiem odwiecznej walki między ludami niemieckimi a ludami słowiańskimi, szczególnie narodem polskim, dalszym ciągiem tej walki, której echo odzywa się w znanem przysłowiu: ***„Póki świat światem, nie będzie Prusak Polakowi bratem“.*** Lecz chociaż ta walka toczy się już „póki świat światem,“ to przecież w ostatnim wieku przybrała ona charakter ostrzejszy, gwałtowniejszy, zaciętszy. Dlaczego? wynika to z obecnego położenia państwa pruskiego i z naszego, nas Polaków w Poznańskiem, doń stosunku: Jesteśmy poddanymi pruskimi, a kraj nasz przydzielony do monarchii pruskiej, zatem dążeniem rządu pruskiego, który zawsze lubi wszystko mieć bardzo porządnie i na jedną skrojone modłę, „uniform“, jest zrobić z nas Prusaków takich samych jak ci w Berlinie i Poczdamie. Lecz poza tem jest jeszcze i inna głębsza przyczyna: Od wieku jednego przydzieleni jesteśmy do Prus, ale nikt nie wie — na jak długo, czy istotnie na wieki? Zdarzało się już często w dziejach narodów, że kraj jeden cały lub część jego należała politycznie przez czas pewien, przez wiek jeden, dwa, trzy, a choćby więcej do obcego sobie państwa i po upływie tego czasu albo odzyskiwał swoję dawną niezależność, albo też jako część zrastał się z tym krajem, do którego pierwotnie należał.

To też nikt nie wie, co nam w przyszłości jeszcze sądzone. Możemy to spokojnie tutaj powiedzieć, nie naruszając wcale obowiązków łączących nas z rządem pruskim, który sam przecież wie, że na mocy podobnych faktów historycznych odebrał Strassburg z Alzacyą po dwuwiekowem przynależeniu jego do Francyi. Takie zrastanie się części z pniem rodzinnym, od którego były odcięte, dzieje się na mocy konieczności historycznej, a w chwilach wielkich obrachunków międzynarodo-

wych, kiedy to ludy załatwiają wzajemne swoje, odwieczne sprawy.

Otóż tak samo, jak po wojnie francuzko-niemieckiej rzekły ludy niemieckie do Francyi: „oddajcie nam, co nasze“ i wzięły Alzacyę ze Strasburgiem, tak też i przyjść jeszcze może ta chwila, w której ludy słowiańskie rzekną do Niemiec: „oddajcie nam, co nasze“ i zażądają krajów polskich dzisiaj pod berłem pruskiem zostających.

Rząd pruski zbyt jest przewidującym, zbyt dobrze zna wypadki historyczne i za dobrym jest politykiem, by możliwość tę zupełnie wykluczał i przy działaniu swem nie brał jej w rachubę. Przeciwnie — całą politykę Prusaków wobec nas w ostatnich dziesiątkach lat, cały system gwałtownego germanizowania nas, a właściwie powierzchownego obrzucania nas niemieckim pokostem, zdradza pewien strach i niepokój przed tą chwilą, o której nikt nie wie, czv bliska czy daleka, i zdradza pewne gorączkowe przygotowywanie się na tę stanowczą, wielką chwilę. Rząd pruski wie dobrze, że gwałtownym uciskiem nas nie zniemczy, że nie zrobi z nas Prusaków oddanych sercem i duszą sprawie niemieckiej, więc chce przynajmniej przytłumić w nas każdy objaw polskiego życia, pomalować nas z wierzchu na biało i czarno, by w danej chwili módz ludom Europy w obec żądania ich powiedzieć: „to już nie Polska i nie Polacy tu mieszkają, tu tylko Niemcy i Niemcy“. W ten sposób przygotowuje się przewidujący rząd pruski do walnej rozprawy i odpowiedzi w tej stanowczej chwili. Rzeczą zaś naszą i obowiązkiem jest być na tę chwilę także gotowymi, choćbyśmy i wieki jeszcze na nią czekać mieli; oby głos polski, jaki z tych krajów wówczas wyjdzie, kłam zadał rządowym oświadczeniom, silniejszym był i potężniejszym, niż noty dyplomatyczne i całą mocą swą dotarł do tego tronu, na którym sprawiedliwość sądzić będzie międzynarodowe spory!

Pisząc słowa powyższe nie chcemy zgoła naruszać stosunku wiążącego nas dzisiaj z państwem pruskiem ani obowiązków zeń wynikających, wzięliśmy tylko pod uwagę możliwość faktu, której nikt rozumny, czy Polak, czy Prusak zaprzeczać nie może. A zresztą, pomijając już i tę możliwość w przyszłości, nawet i jako „lojalni, wierni poddani“, ale zawsze Polacy sercem i duszą, winniśmy za pierwszy nasz obowiązek społeczny i obywatelski a zarazem za święte prawo nasze uważać pracę w tym kierunku, by „wytrwać, zostać, być Polakiem.“

I otóż nad różnymi środkami i sposobami pracy do tego zmierzającej celu, zastanowimy się w dalszym ciągu artykułów.

Poznańczyk.

W sprawie gimnazyastów Polaków w Krotoszynie.

Szanowna Redakcyo!

Artykuł „Młodzież gimnazyalna w Krotoszynie“ z nr. 35 „Pracy“ poruszył do głębi wszystkich tutajszych gimnazyastów. Zarzuty autora wyrządziły gimnazyastom krotoszyńskim wielką krzywdę. Z tego powodu usilnie upraszam, znając dokładnie stosunki panujące pomiędzy tutajszą młodzieżą o zamieszczenie następującej odpowiedzi w celu sprostowania i rehabilitacyi młodzieży Krotoszyńskiej:

Od pierwszej chwili, jak tylko „Praca“ zaczęła kreślić stosunki panujące po gimnazyach, spodziewano się artykułu, dotyczącego młodzieży tutejszej. I szybko przyszła na nią kolej. Rzeczono im: „Obojętniście na sprawę narodową, bratacie się z Niemcami, a nienawidzicie pomiędzy sobą, germanizujcie się!“ Panu Krotoszyńskiemu jednej tylko można udzielić rady, by był łaskaw przybyć do tutajszej młodzieży, obracać się w jej kołach, *tam* ją poznać, a potem ją na mocy *tego* charakteryzować.

Przejdźmy do wywodów szan. autora samych. „Niestety“, pisze p. K., „nie ma łączności nawet pomiędzy uczniami klas wyższych.“ Może być, że to było dawniej, lecz przecież stosunków, jakie istniały dawniej, nie wolno utożsamiać ze stosunkami, jakie panują teraz. Otwarcie i śmiało zaświadczyć można, że pomiędzy gimnazyastami-Polakami krotoszyńskimi istnieje życie prawdziwie koleżeńskie. Małe dyssonanse są i tutaj, jak wszędzie, lecz są to wyjątki, a wyjątki nie tworzą reguły!

Co do synów drobnych urzędników, to nie można zaprzeczyć, że rodzice ich często nie wpływają dodatnio na nich, że jeszcze częściej synowie ze względu na nich nie występują tak jak im serce nakazuje. Lecz czy z tego powodu wolno nazwać *wszystkich* synów urzędników „lojalnymi aż do obrzydzenia?“

Gorzej jeszcze przedstawia autor inteligencyę krotoszyńską. Wprawdzie nie można jej bronić przed wszystkiemi zarzutami, wiadomo bowiem, że inteligencya krotoszyńska nader mało czyni dla młodzieży kształcącej się, a mogłaby wiele się przyczynić do powiększenia zasobu wiadomości w zakresie języka ojczystego, lecz na krytykę p. K. nie zasługuje. Czyż jest pomiędzy nią choćby jeden, bratający się z Niemcami przy kuflu lub zielonym stoliku i drżący ze strachu, by mu nie powiedziano, że jego syn jest agitatorem wielkopolskim?

A o naszej młodzieży, pochodzącej ze stanu wiejskiego, śmiało można powiedzieć, że bardzo rzadko stara się płaszczeniem niegodnem uzyskać łaskę profesorów. Twierdzić, że gimnazyaści ze sfer włościańskich, by tem łatwiej szkoły ukończyć, nawet się germanizują, można tylko w wyjątkowych razach.

Nie zupełnie także zgodzić się można na zapatrywanie p. K., że „do obojętności na punkcie narodowym przyczynia się nauka języka polskiego.“ Co do klas wyższych, zdania tego wogóle zastosować nie można. Te posiadają tyle poczucia narodowego, że pojmują, jaką krzywdę im się wyrządza, okrawając coraz bardziej naukę drogiej mowy rodzinnej. Najlepszym dowodem tego jest, że gdy na Wielkanoc 1899 zaczęto wykładać język polski po niemiecku uczniowie sami upomnieli się o swe prawa i rozpoczęli, gdy to nie poskutkowało, starania o petycyę ojców o zaprowadzenie normalnych stosunków, która — niestety — z powodu opieszałości starszego pokolenia nie przyszła do skutku. Sposób wykładu języka polskiego, stosowany przez p. Glatzla również nie był zdolen wyrwać z ich serc poczucia narodowego. Najniżej mógłby był szan. autor twierdzenie swe zastosować do uczniów klas niższych, dla których wykład języka polskiego p. Gl. jest niebezpiecznym.

Stawia wreszcie p. K. gimnazyastom tutajszym zarzut, że pomimo odezwy ludzi dobrze myślących nie wystąpili z nauki języka polskiego. Przyznać trzeba, że odezwy wcale nie uwzględniając popełnili błąd, gdyż nie godzi się chodzić na lekcye języka ojczystego, w których go

chcą obrzydzić, ale to uczynili nie z obojętności dla sprawy, lecz z miłości dla niej, wprawdzie w tym razie do fałszywej wiodącej taktyki. Nie wystąpiono z polskiego, bo rozumiano: gdy klasy wyższe wystąpią, wtedy zniosą również naukę polskiego w klasach, w których nasi młodzi bracia przynajmniej czegoś nauczyć się mogą. Było to fałszywe rozumowanie — podzielane, nawiasem mówiąc, przez wielką część społeczeństwa — lecz w każdym razie nie oparte na złej woli i obojętności dla sprawy ojczystej.

Na resztę wywodów p. K., tyczących osoby pana dyrektora, pana Glatzla i książek w bibliotece gimnazyalnej zgadzam się w zupełności.

Wyrażam jeszcze raz zaufanie, że szan. redakcya już w następnym numerze, nim przystąpi do charakterystyki stosunków w innych gimnazyach, raczy zamieścić powyższe uwagi.

Kreślę się
z głębokim szacunkiem
sługa powolny
X. X.

Dziękujemy za pamięć. Byliśmy pewni, że Krotoszyn się odezwie i cieszy nas, że zarzuty okazują się niesłuszne. Prosimy o częste listy. Redakcya „Pracy“.

Widoki Azyi.

II.

Widzieliśmy, jak głębokie, oryginalne a nawskroś konsekwentne uczucia sympatyi i powinowactwa żywi książę Uchtomski dla ogromnego świata indostańskiego. Wszakże redaktor „Wiadomości petersburskich,“ zatacza z kolei krąg tych samych uczuć dokoła rozleglejszego jeszcze świata i kultury chińskiej. Zdaniem autora, „wielki naród chiński, który doprowadził do najwyższego stopnia podniosłości i prostoty kult władzy i kult nieśmiertelności, jest naszym najlepszym sąsiadem.“ Z łatwością przychodzi autorowi i z tej również strony odsłonić uderzające punkty styczności i wspólności. „W naszych guberniach środkowych, np. wojska dońskiego i uralskiego, są kozacy — buddyści, krewni dawnych danników Pekinu, a są także duchowni — lamowie, chadzający tutaj w takim samym stroju, jak gdzieś na urwiskach Tybetu.“ Zdarza się też nieraz, że „księża buddyjscy udają się z Kalkutty do Syberyi i do Petersburga, Tybetańczycy zaś stale utrzymują ścisły związek z naszymi Buryatami.“ Ożywione stosunki handlowe pomiędzy kupcami chińskimi a rosyjskimi od czasów niepamiętnych odbywają się najnormalniejszym i najzgodniejszym trybem, w niezakłóconem porozumieniu i harmonii. Podobnież w najlepszej zgodzie, w drodze ściśle pokojowej, dokonała się dawniej cesya okręgu amurskiego a świeżo — portu Artura. Wogóle rozumny Chińczyk umie doskonale rozróżniać pomiędzy napływającym od strony morza żarłocznym przybyszem z Europy zachodniej a naturalnym swoim przyjacielem — sąsiadem rosyjskim od strony lądu stałego, pomiędzy krzywdami doświadczanemi od tamtego napływu, a dobrodziejstwami doświadczonemi od tego sąsiedztwa. „Dla obywatela państwa Niebieskiego Rosya jest to potęga swojska, blizka, spokrewniona *(rodnaja)*, nie tak jak inne mocarstwa grabieżcze ze swoją polityką kolonialną.“ Te to mianowicie drapieżne mocarstwa Zachodu, a w szczególności Anglicy i Niemcy, wciskając się klinem między przyrodzoną przyjaźń i jedność chińsko-rosyjską, stanowią dla obu przyjaciół, dla Chin i Rosyi, najniebezpieczniejszą groźbę. „Najbardziej złowróżbną — tak dobitnym głosem ostrzega i dobitnym kursywem drukuje ks. Uchtomski — byłaby hypoteza o zapanowaniu zasad zachodnich w Chinach, tj. w takim wypadku, jeżeliby Europejczycy, w szczególności zaś Anglicy, mieli ustalić swoją przewagę w państwie bogdychanów. Nasze główne zadanie na żółtym Wschodzie powinno zatem przedewszystkiem polegać na zapobieżeniu podobnej ewentualności, ażeby następnie nie stanąć wobec konieczności zwalczania narzuconych niebezpieczeństw kosztem drogocennej krwi rosyjskiej i kolosalnych wydatków pieniężnych.“

Owóż, zdaniem autora, takie właśnie niebezpieczeństwo w całej swojej grozie zostało wywołane przez podstępną akcyę europejskiego Zachodu na dalekim Wschodzie. Początek uczyniony został pod tym względem nie w Chinach, lecz w Japonii. Właściwie i Japonia, podobnie jak Chiny, „jest bardziej z nami związana i bliższa nam duchem, niż wyniosła Europa zachodnia.“ Ale perfidya Zachodu potrafiła w sercach japońskich „zaszczepić podejrzenie i niechęć dla Rosyi.“ Mimo to przecie ks. Uchtomski nie traci nadziei, iż „rozumniejsi Japończycy uświadomią sobie niebezpieczeństwa, wynikające z bezwzględnego poddania się cudzoziemczyźnie.“ Innemi słowy autor jasno zapowiada, iż w państwie mikada „reakcya w dobroczynnym kierunku narodowym jest zapewne kwestyą krótkiego czasu.“ Należy podnieść tę interesującą zapowiedź, która, pochodząc od tak dobrze informowanego znawcy stosunków tamecznych, zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Z Japonii Zachód przeniósł z kolei swoją podziemną robotę rozkładową wprost już do samych Chin. „Nad krańcową rubieżą słowiaństwa — na dalekim Wschodzie — wiarołomni Teutonowie dopuścili się grabieży i gwałtu. Takim faktem jest zwłaszcza opłakany zabór Kiao-Czau. Europa zachodnia przebiła straszny wyłom w idealnym murze chińskim. Któż teraz może zbawić Chiny od jarzma i upadku? Ja mam przekonanie, że jedynie Rosya!“

W istocie takie samo, nie inne, jak redaktora „Wiadomości petersburskich“, jest podobno w tym względzie przekonanie całej Azyi wogóle, a Chin w szczególności. Ks. Uchtomski pod tym względem ma na swoje poparcie dostateczną ilość bardzo poważnych i zastanawiających cytacyi. Tak więc „nader ukształcony sułtan kirgizki, Wali-Chanow, zapytany przez sędziwego A. N. Majkowa, jaką właściwie jest jego filozofia historyi, po krótkiej chwili namysłu odparł z zapałem: Bóg Najwyższy był darował władzę nad światem memu przodkowi, Czengis-Chanowi, lecz odebrał ją za grzechy jego potomstwu i oddał w ręce Białego Carstwa. Oto jest moja filozofia historyi!“ Zupełnie w ten sam sposób Mongołowie, stopień pośredni pomiędzy nami a Chińczykami, przyswoili sobie w najgłębszem przeświadczeniu taki sam pogląd na Rosyą i na jej władzę zwierzchnią, objawiającą się dla nich jako wcielenie miłosiernej *Cagan-Dara-Eche*, t. j. jednej ze świetlnych manifestacyi samego Buddy.“ Niemniej godne jest uwagi, że „w skład hieroglifu *Hwang-Ti-Chuan-Di*, t. j. pierwotnego tytułu Bogdychana, wchodzi pojęcie Biały Książę, *Cagan-Chan!* Wprawdzie uczeni angielscy wykazują, że jest to tylko późniejsze skażenie istotnego sensu, który właściwie nie oznacza nic innego, jak tylko umiejący panować nad samym sobą. Ale czyliż to nie wszystko jedno, skoro w danej chwili ten symbol staje się tak wymownym?“

Obecnie o to właśnie chodzi najgłówniej, ażeby we właściwej mierze, we właściwym duchu, przykładać się do pożądanego urzeczywistnienia tego symbolu. W dobie spółczesnej, niezawiśle od chwilowych, przejściowych odmian wojennych, znowu sztucznie wywoływanych przez złą wolę Zachodu, zdaniem ks. Uchtomskiego „osłabione i kruche Chiny zaczynają otwarcie i serdecznie zbliżać się do naszego wielkiego mocarstwa północy, szukając w niem moralnej podpory i materyalnego sukursu, albowiem te Chiny i my, to jeden zwarty i bezbrzeżny żywioł, to jedna duchowo zharmonizowana całość, którą wszędy powinny przeniknąć te same prądy życionośne, nad którą wszędy powinna zabłysnąć ta sama jasna zorza, która ongi, za czasów Olgi i jej wnuka Krasnego Słoneczka, była odrodziła Ruś kijowską.“ Takie wyjście jest

zresztą najdobitniej wskazane przez same warunki geograficzne, jest niejako wyrazem wyższej, przyrodzonej woli Opatrzności. „Za morzem Kaspijskiem, Ałtajem i Bajkałem my nie mamy i nie możemy mieć żadnej określonej rubieży, poza którą kończyłoby się to. co naprawdę jest nasze. Odcienie przejściowe od posiadłości rosyjskich do chińskich tak są nieuchwytne, że wyrazić tego niepodobna.... Dla nas w Azyi naprawdę niema i być nie może żadnych innych granic, jak tylko nieokiełznany, bijący o jej brzegi, nieskończony ocean... Ruś, to źródło i ognisko niezwyciężonej mocy. Wschód, podobnież jak i my, wierzy w nadprzyrodzone własności ducha rosyjskiego. Azya zdolna jest serdecznie pokochać Rosyą i bez bólu z nią się utożsamić.... Dla państwa wielkorosyjskiego niema innego wyjścia: albo zostać tem, do czego ono jest powołane od wieków, zostać potęgą wszechświatową, łączącą Zachód ze Wschodem, albo też niezwłocznie stoczyć się po pochyłości upadku, zduszone przez zewnętrzną przewagę Europy, oraz przez rozbudzone obcym wpływem ludy azyatyckie, które wtedy staną się dla nas jeszcze groźniejsze od cudzoziemców zachodnich.“

Taka jest ostateczna i najwyższa idea, do której w konkluzyi wznosi się ks. Uchtomski. Idea miliarda ludzi, zespolonych w duchu. Idea wielka, co się zowie. A jakkolwiek tak wielka, przecie, zdaniem autora, wcale wykonalna, która przerażać swoim ogromem nie powinna bynajmniej. Wszak „już w czasach starożytnych, kiedy środki komunikacyi były nieskończenie gorsze i trudniejsze niż dzisiaj, mimo to na kresach Europy a Wschodu wzrastały i utrwalały się olbrzymie mocarstwa. Obecnie, w dobie kolei, telegrafów, telefonów, nie mówiąc już o innych, codzień nowych wynalazkach, łączących kraje i narody, żadnego niema słusznego powodu obawiać się odległości albo rozbratu pomiędzy oddalonemi częściami składowemi jednej wspólnej całości. To, co dla przodków naszych mogło wydawać się blizkiem, dla naszego wzroku staje się bezpośrednio przystępnem...... Takie i większe jeszcze niespodzianki kryje w swem łonie nadchodzące XX stulecie.“

Tutaj kończy się niewielka objętością a bogata treścią książka ks. Uchtomskiego. Autor nie od dzisiaj dobrze jest znany publiczności. Obecnie jednak, jak się zdaje, ks. Uchtomski z wyjątkowem i wyłącznem zamiłowaniem poświęcił się niniejszym najodleglejszym i najegzotyczniejszym zagadnieniom polityki zagranicznej. Oddaliśmy z całą skrupulatnością niezmiernie oryginalne i zastanawiające jego wyłuszczenia i wywody. Wstrzymujemy się od wszelkich własnych komentarzy. Moglibyśmy, co najwyżej, przypomnieć słowa starego mędrca Zachodu, starego Greka Cyneasza, wyrzeczone ongi do króla Epiru: „A co dalej, królu?“ Ale w dalekich tych sprawach własna nasza kompetencya niezawodnie jest zgoła niedostateczna i własny nasz sąd pozbawiony wszelkiego samodzielnego znaczenia.

Szymon Askenazy.

Z TYGODNIA.

„Münchner Post“ donosi o skandalicznym przykładzie bicia w szkole, który się zdarzył w Altenbaum pod Lichtenfels. Nauczyciel (zapewne hakatysta) rozgniewał się na chłopca pewnego za to, że nie był dość pojętny, i aby go ukarać, sześć razy uderzył go głową o ścianę. Po kilku dniach chłopiec zmarł na zapalenie mózgu. Fakt ten podajemy do wiadomości publicznej, ponieważ p. Studt chce zabrać z prowincyi 18 nauczycieli Polaków, a na ich miejsce dać Niemców. Widzimy, jakich to pedagogów mają Niemcy w swoim kraju, przejmuje więc nas obawa, aby się do nas nie dostał jaki taki nauczyciel, co już niejedną może duszę niewinnego dziecka ma na swojem sumieniu.

Rodzice, czuwajcie nad waszemi dziećmi i w razie pobicia przez nauczycieli dajcie sobie wystawić świadectwo lekarskie, aby takich, co katują i znęcają się nad dziećmi, przed sąd oddawać.

Zapewne większa się znajdzie teraz liczba takich, co będą się znęcać nad dziećmi polskiemi, bo *„Pos. Ztg.“*, słysząc, że dzieci polskie nie chcą odmawiać pacierza niemieckiego, w bezczelny sposób doradzała nauczycielom bicie.

Bicie — oto najsilniejszy argument Prusaka. Bez bicia Prusak nie ma prawdziwej zabawy. Pokazało się to już teraz i w Chinach, gdzie pomimo zdobycia Pekinu Niemcy chcą wywołać nowe walki, aby się tylko mogli bić i pokazać swą siłę.

Tryumfalny pochód hr. Waldersee, którego niektóre gazety niemieckie zrobiły już w miejsce „feldmarszałka“, „Weltmarszalem“, omawiają niektóre bezparcyalne gazety nieco inaczej. I tak *„Köln. Volks. Ztg.“* nawięzując do słów hrabiego Waldersee, iż nigdy nie wyda rozkazu do odwrotu, zauważa:

„Już bardzo wielu naczelnych wodzów w ten sposób się chełpiło przed czasem, a później jak niepyszni uciekali przed nieprzyjacielem, gdy nie było innej drogi do wyjścia. Bombastyczna zapowiedź hrabiego Waldersee zadziwia bardzo, jeżeli się zważy, że nie ma on wyobrażenia o Chinach. Zresztą każdy rozumny wódz nie wystawia wojsk na niechybną zgubę.“

„Freisinnige Ztg.“ drwi sobie po prostu z owacyi urządzanych br. Waldersee. Jeśli istotnie źródła oficyalne wiernie referują o owacyach, w takim razie naród niemiecki liche sobie wystawia świadectwo, entuzyazmuje się bowiem może za wcześnie. W roku 1871 witano zwycięzców, którzy walczyli w obronie ojczyzny. Dziś tymczasem mówi się już o „pochodzie tryumfalnym“ wyjeżdżającego generała i święci się naprzód czyny mające rzekomo być dokonanymi na dalekim wschodzie, a przecież kto może powiedzieć, że generałowi daną będzie rzeczywiście sposobność do okazania swoich zdolności wojowniczych?

Sprawa chińska ma bardzo wiele stron humorystycznych; kto wie, czy nie jedną z najzabawniejszych jest to, że obecnie cesarzowi niemieckiemu wystawiają pisma rachunek za uratowanych w Pekinie Europejczyków. Jak wiadomo, cesarz poręczył swem słowem cesarskiem, że każdemu kto uratuje Europejczyka z Pekinu, zapłaci za głowę 1000 taelów. Obecnie wojska sprzymierzone, między któremi nie było ani jednego Niemca, uratowały 800—900 Europejczyków. Należy im się zatem 8 do 900.000 taelów czyli około 5 milionów marek. Cesarz będzie musiał płacić; nikt go wprawdzie nie zmusi, tak jak nikt nie zmusza królów pruskich do spełnienia przyrzeczeń wobec Polaków, ale słowo cesarskie...

Jedna z tych partyi opozycyjnych, z którą na wielu punktach się nie zgadzamy — socyalni demokraci — poniosła wielką przed kilku dniami stratę. W dniu 7-go z. m. zmarł nagle, rażony apopleksyą, Wilhelm Liebknecht.

Liebknecht był wraz z Beblem i Singerem przywódcą niemieckiej socyalnej demokracyi. W porównaniu z dwoma wymienionymi swoimi towarzyszami zajmował najbardziej zasadnicze i najbardziej ideowe stanowisko, co mu jednakże nie przeszkadzało uznawać, że socyalna demokracya może i powinna odegrać czynną rolę w bieżących reformach społecznych. Jako człowiek zasad, który zmierzał do tego, aby bezwzględną sprawiedliwość zrobić jedyną regułą w życiu prywatnem, publicznem i w stosunkach międzynarodowych, Liebknecht był gorącym zwolennikiem sprawy polskiej i niepodległości naszej Ojczyzny i wyraz temu swemu zapatrywaniu dawał niejednokrotnie w swoich pismach, nie oglądając się na to, że narazi się po prusacku nastrojonemu ogółowi niemieckiemu.

Liebknecht, urodzony w roku 1826

w Giessen, liczył w chwili śmierci 74 lat. Ukończył studya filologiczne i filozoficzne, a od r. 1848, kiedy to za udział w rewolucyi dostał się do więzienia, brał udział bezustannie w pracach społecznych. Wielokrotnie więziony, wypędzany, prześladowany, wytrwał jednakże. Od r. 1874 z małą przerwą Liebknecht był członkiem parlamentu niemieckiego. Prócz mnóstwa artykułów dziennikarskich i szeregu dzieł poważnych, Liebknecht wydał wiele broszur, z których jedną z najpopularniejszych, a zarazem najbliżej nas obchodzących, była wydana w roku 1878 p. t.: „W kwestyi wschodniej, czyli: Czy Europa ma stać się kozacką?“

Liebknecht był jedną z tych nielicznych w życiu politycznem postaci, które, mimo wybitnie zaznaczonego partyjnego stanowiska, swoją prawością i nieskazitelnością i swą wysoką kulturą duchową, zyskiwał sobie uznanie najzawziętszych nawet przeciwników politycznych.

U nas Polaków pozostawia zmarły wspomnienie pełne uczuć sympatyi i szacunku, gdyż był naszym przyjacielem, mimo prądów polakożerczych w państwie niemieckiem. W Liebknechcie ponosi nietylko niemiecka partya socyalistyczna, ale cały wogóle socyalizm wielką stratę, gdyż był to twórca, a nie wykonawca.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Hasło, rzucone przez „Pracę,“ aby społeczeństwo nasze bardziej czuwało nad tem, jaki użytek się robi z ofiarności publicznej, pobudziło niejednego do zastanowienia się nad potrzebą oględnego szafowania naszemi siłami wogóle. Tak — powołując się na nasze pismo — piszą do **„Orędownika“** w sprawie oszczędności:

„Nie wysełajmy naszego ciężko zapracowanego grosza tam het za granice cudzoziemcom, ale i też uważajmy, czy i u nas nie wydajemy wiele pieniędzy na próżno, — na przykład, czy nie za częste i liczne są te zabawy publiczne, które bez żadnej korzyści nie małe zawsze nas kosztują sumki? Dziwnem zaiste jest i to bardzo dziwnem, że przy teraźniejszych kiepskich czasach, tak częste i liczne mamy zabawy, cztery, pięć prawie co niedzielę! A komu te zabawy przynoszą korzyść? — czy może towarzystwom, które takowe urządzają? — bardzo mało, — a społeczeństwu całemu tak bardzo potrzebującemu, wcale nie!

„Faktem jest, że te liczne i częste zabawy zmuszają naszą publiczność do za wielkiego rozdzielania się i w ten sposób zabawy te, choć dość licznie odwiedzane, przynoszą towarzystwu tylko taki dochód, że po opłaceniu różnych wydatków zostaje zaledwie kilka marek, ba a nawet często deficyt, świadczą o tem najlepiej same sprawozdania towarzystw, gdzie zazwyczaj pozycye dochodów z zabaw są bardzo słabe.

„Korzyści więc żadnej poszczególne towarzystwa nie mają, — a nie ma jej przedewszystkiem biedne nasze społeczeństwo. Jedynie przez to popieramy jednostki, orkiestry, restauratorów. Obliczmy więc tylko ile to set marek idzie na marne — a tu powinniśmy popierać różne ubogie instytucye dobroczynne, nieść pomoc biednym dziatkom polskim w nauce języka polskiego, są też i składki jubileuszowe dla zasłużonych mężów i wreszcie wiele innych potrzeb, wymagających naszej pomocy.

„A pomoc ta będzie z naszej strony słabą i niedostateczną, jeśli zbyt wiele wydawać będziemy na inne niepotrzebne cele. Owszem bawmy się, bo wesołość to cnota Polaków, ale cnota wygórowana staje się wadą. Jasnem jest, że zabawy mniej częste i nie wszystkie na raz urządzane przyniosą każdemu towarzystwu o wiele większy zysk.“

Uwagi te podnosimy z uznaniem i do zdania korespondenta się przyłączamy, nadmieniając że w sprawozdaniach rocznych towarzystw zrobiliśmy spostrzeżenie, że wydatki na bale, majówki, obchody, chorągwie itp. są najczęściej nieproporcyonalnie wielkie w porównaniu z wydatkami na książki i gazety. Niejedno towarzystwo, które jednym róchem kilkadziesiąt marek wydaje na chorągiew, nie wstydzi się pisać do pism listu z prośbą o zniżenie prenumeraty, a w każdym razie już bardziej stara się o rozweselenie członków zabawami, niż o pożytek ich ducha.

Zwłaszcza w obecnej porze politycznej naszego społeczeństwa, powinny wszystkie towarzystwa otrząsnąć się z apatyi, a zająć się rzetelną, poważną pracą.

Zamało jeszcze odczytów urządzają nasze towarzystwa, jakkolwiek materyału jest dużo i przy aktualności poruszanych tematów z pewnością zawiązywałaby się dyskusya. Radzimy towarzystwom, aby odczytywały ważniejsze artykuły naszych gazet i aby o rezultatach dyskusyi powiadomiały odnośne redakcye; wśród takich ciężkich czasów. jakie się zbliżają, wzajemna łączność i wymiana myśli jest rzeczą nieodzowną a pożyteczną.

Zwłaszcza artykuły pism, ogłaszane w sprawie zniesienia polskich wykładów powinny sobie odczytywać towarzystwa. z nich bowiem wynika nauka, jaką taktyką rządzić się powinniśmy wobec germanizacyi.

Jednem z pism, które poprostu z rewolwerem prawie rzuciły się na Ks. Arcybiskupa Stablewskiego za Jego wystąpienie w sprawie reskryptu Studta, była **„Deutsche Ztg.“** Ku wielkiemu jej zdumieniu i bezwątpienia żalowi wśród prasy niemieckiej znalazło się jednakowoż dość pism, które otwarcie potępiły ministra, nie będąc wcale wyznaniem związane ze sprawą katolicyzmu. Do pism tych należy **„Hamburski Korespondent“**. Pisze on:

„Czytelnicy nasi wiedzą, że zawsze przemawialiśmy za energiczną polityką polską, albo raczej antipolską jako za narodową koniecznością; musimy jednak przyznać, że nadużycia w tej dziedzinie należą do stosunkowo najmniej sympatycznych nam środków polityki państwowej.“

Podczas gdy konserwatywne pismo hamburskie bez ogródek nazywa *nadużyciem* rozporządzenie ministra, wspomniana powyżej **„Deutsche Ztg.“** pisze:

„Wobec reskryptu ministra wszystko ogniem zapałało. Jako głównego i właściwego burzyciela uważać można X. Arcybiskupa Stablewskiego! Przez to, że treść zapytania do ministra oświecenia we formie takiej jak depesza emska roztrąbił — dał tem samem żywiołowi polskiemu i jego stronnikom w Centrum sygnał, że teraz czas wrzeszczeć. Jeżeli nastąpił parol: „wojna!“ to żądamy od rządu, aby zadośćuczynił wielkości zadania swego. Powinien postawić jednolity, dobrze obmyślany program dla narodowoniemieckiej polityki na wschodzie (in den Ostmarken) i ludowi niemieckiemu zadać pytanie, czy chce razem z cesarzem niemieckim walczyć za rodaków, czy z panem Stablewskim za polonizm — który już w trzech powstaniach(?) rękę zbrojną podniósł przeciwko rządowi pruskiemu.“

Hakatystyczny pismak, z pod pióra którego wyszły te brednie, zapewne nie wie, że gdyby chodziło o obronę wiary ojców, nasz lud tak samo jak dawniej gotówby ostatnią kroplę krwi przelać. Gdyby o tem pamiętali germanizatorzy, zapewneby niejednego niebacznie wymówionego słowa unikali.

Jak wiadomo, urzędnicy stanu robią zawsze trudności w zapisywaniu imion polskich. Niedawno w tej sprawie wydały sądy wyrok, który — za **„Kur. Poz.“** — do wiadomości podajemy:

„W sprawie podania imion urodzonego w dniu 19. kwietnia 1899. roku syna ślusarza Maksymiliana Waszczyńskiego w Berlinie, do wykazu urodzin król. urzędu stanu cywilnego XII-go b. w miejscu, odpowiadamy niniejszem na zażalenie ślusarza p. Waszczyńskiego z dnia 7. maja 1899:

„zważywszy, że wybór imion dziecka przysługuje ojcu tegoż a jest ograniczonym tylko o tyle, iż nieprzystojne albo rażące imiona są wykluczone;

„zważywszy, że podane przez załącego się do zapisania imiona jego syna „Wojciech“ i „Władysław“ nie dają powodu do żadnej wątpliwości;

„zważywszy, że konieczność prowadzenia wykazów w języku niemieckim nie wyklucza wyboru imion w obcym języku, ponieważ poświadczenie, iż takie imię zostało nadanem, wygotowane jest zawsze w języku niemieckim;

„przeto wzywa się król. urząd stanu cywilnego XII b. w Berlinie, aby podane przez żałącego się imiona „Wojciech Władysław“ syna jego, urodzonego w dniu 19. kwietnia 1899. roku, we wykazie urodzin zapisał.

„Rozstrzygnięcie to uskutecznione zostało bezpłatnie.

„Berlin, d. 29. maja 1899.

„Król. sąd ziemiański I, Izba cywilna 22. podp. Maske. Hesekiel. Haken.“

Na ten wyrok zwracamy uwagę wszystkich tych rodziców, ktorzyby mieli kiedykolwiek napotkać trudności w zapisywaniu imion polskich.

Praw naszych powinniśmy przestrzegać tem baczniej, że urzędnicy wszelkiego rodzaju starają się bezprawiem zwalczać polskość, aby wytworzyć zwyczaj prowadzący do zapomnienia prawa. Tak postępują np. niektórzy urzędnicy pocztowi, którzy zabraniają mówić po polsku w budynkach pocztowych itd.

Niepotrzeba chyba dodawać, że i w kościele, gdzie tylko, — jak w Prusach Zach. albo w Westfalii okazuje biskup uległość rządowi, tam też i Polacy są krzywdzeni w swym języku. Pouczającą w tej mierze jest korespondencya, którą ogłasza **„Pielgrzym“**:

„Śledząc od dłuższych lat rozwój naszego Kościoła w dyecezyi naszej, zaznaczam z radością, że w ostatnim czasie znaczny zwrot ku lepszemu się uwydatnia. Przez nieomal 10 lat spostrzedz było można jakiś złowrogi zastój; nasza dyecezya była jakby w letargu. Od niejakiego czasu — bardzo niedalekiego — przebudziła się dyecezya nasza do nowego życia! wszędzie ruch; błoga nadzieja w lepsze czasy wstąpiła we wszystkich, a mamy niezłomne przekonanie, że ta nadzieja nas nie zawiedzie.

„Szczególnie okazuje się to nowe życie w naszej dyecezyi, w upiększeniu naszych kościołów, w reparacyach starych i budowania nowych. Jak się to miło czyta, jak dyecezyanie i ubodzy i bogaci swoje fenygi, swoje setki i tysiące marek chętnie składają na chwałę Bożą! Mógłbym tu o niejednych datkach wspomnieć, przyczemby się niejednemu łzy puściły; — przyjdzie i na to jeszcze czas. Niech Nasz Najprzewielebniejszy X. Biskup nabierze o nas tego przekonania, że za Jego głosem i co do kolekt na nowe kościoły chętnie pójdziemy i damy, co będziemy mogli, — a damy chętnie. A przytem nas wszystkich jedno niewymownie boli. A to są te krzywdy, te upośledzenia, jakie właśnie nam Polakom od dziesiątka lat przez Kościół w naszej dyecezyi się wyrządzają. Potrąciły gazety o krzywdy, jakie nam się wyrządzają w kościele biskupskim. A ile takich samych krzywd się dzieje jeszcze w innych naszych kościołach! Krew się ścina, kiedy się czyta, jak nawet taki organista śmie publicznie w kościele nas Polaków policzkować podczas naszych nabożeństw, jak o tem w przyszłym tygodniu donosiły nasze gazety, opisując nabożeństwa polskie w Gdańsku i Tczewie.

„Oj, nauczyłbym ja takiego pachołka śpiewać i po — polsku! Takie postępowanie wprost niegodne drażni nas Polaków nie tylko w Gdańsku, w Tczewie, Biskupcu, Lęborku, Czarnowie i na wielu innych miejscach, — drażni nas, mówię, w całej dyecezyi, a to rozdrażnienie i niezadowolenie wzmaga i potęguje się w miarę krzywd nam wyrządzonych i zamieni się w ogólny żal do rządów dyecezyi.

„Prześwietna Władza duchowna rozpisała znów kolektę na nowy kościół w Langfurze pod Gdańskiem. Nie przykrzą się nam bynajmniej te kolekty; chętnie damy i na ten nowy kościół, ale pytamy najpokorniej: czy potrzeby dla tamtejszych Polaków — , a jest ich tam, jak wiemy, wcale sporo — , się uwzględnią, albo czy im pójdzie jeszcze gorzej jak w Biskupcu? Gdyby tak miało być, to byśmy bodaj nasze ofiarki lepiej posłali tam, gdzieby nasi biedni bracia doznali ulgi i wygody w swoich nabożeństwach n. p. we Wielowiczu i w Glaznotach i na innych miejscach.

„Gorąco i pokornie błagamy: niechże Prześwietna Władza duchowna i nas uwzględnia.“

W obecnej zwłaszcza chwili powinniśmy na każdym kroku zwracać uwagę na uszczuplenia praw naszych pod względem religijnym, gdy centrowcy niemieccy się chwalą że tylko u nich jest dla nas sprawiedliwość. Tymczasem ta sprawiedliwość więcej na frazesach niż na czynach oparta. Słusznie pisze **„Gazeta Toruńska“**:

„Germania“ w nr. 189 pyta się, jak sprawa się ma z ustawą przeciwko Jezuitom. „Macht freie Bahn im Reiche“ — Wpuśćcie Jezuitów. A my się pytamy, czy tylko Jezuitów? A gdzie są męzkie i żeńskie zakony w dyecezyi chełmińskiej i w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej?

„Jeżeli centrowcy walczą za prawdę, wolność i prawo, to niechże walczą za zupełną prawdę, wolność i prawo, a nie połowicznie.

„Prawda nie będzie politykowała, nie będzie szachrowała, lecz śmiało i otwarcie wystąpi i ujmie się za wszelką krzywdą i niesprawiedliwością.

„Pan Lieber jest tak wymowny, jeżeli chce, lecz gdy chodzi o krzywdy wyrządzone Polakom, milczy jak ryba.

„Mój miły Panie, jakto inaczej występował ś. p. Windhorst, prawdziwy mąż prawdy, wolności i prawa! On się ujmował za wszelką krzywdą, karcił wszelką niesprawiedliwość, czy ona Niemcom, czy Polakom została wyrządzona — lecz jego następcy bodaj ledwie mu do kolan sięgają, a potem się jeszcze dziwują, że Polacy katolicy ich uwielbiać nie chcą.“

Uwaga słuszna! *B. M.*

Głosy od Przyjaciół.

Z pod Leszna.

Niech będzie pochwalony Jezus Chr.!

Szanowna Redakcyo „Pracy“!

„Ponieważ żniwa się kończą, przypominamy więc komu należy, a mianowicie komitetom powiatowym itd. o potrzebie zwoływania wieców.“

Przeczytawszy to w „Pracy“ zastanowiłem się i po głębokiem rozmyślaniu postanowiłem w kilku po sobie następujących listach napisać Szan. Red. jak się na tę sprawę zapatruję.

Zmusza mnie do tego ciężar, który mam na sercu, a że mną zapewne każdy, który się czuje Polakiem i został znów dotknięty znanem rozporządzeniem ministra p. Studta. Chociaż rozporządzenie jego odnosi się tylko do Poznania my nie wątpimy ani chwili, że do nas na wsi będzie zastosowane. „Posener Zeitung“ donosi też, że i na wsi rozporządzenie p. ministra będzie zastosowane, o ile powiatowy inspektor to uzna, że dzieci już tak dalece w niemieckiem postąpiły. To też spodziewać się należy, że jeżeli prawda, to w krótkim czasie i na wsiach ci panowie uznają za pożyteczne, ażeby nas uszczęśliwić tem nowem dobrodziejstwem.

Ale nie lękajmy się, bo rozporządzenie to nietylko, że nam nie zaszkodzi, ale doda nam prawdziwej miłości naszego języka i Polski — bo pytam się, cóżeśmy stracili przez znane rozporządzeniu wszystkich tych ministrów począwszy od Bismarka aż do dzisiejszego p. Studta? Nietylko, że nie upadliśmy na duchu, ale przez te rozporządzenia poznaliśmy my, niższy stan, co nam zagraża i rzuciwszy okiem kilkanaście lat wstecz od znanego rozporządzenia (jeśli się nie mylę w r. 1886), cieszyć się można tylko z tego, bo wszakże dawniej można nas było nazwać narodem śpiącym — dziś zaś można powiedzieć, żeśmy już naród czuwający i mocno rozważający zamiarami, którymi nas rząd chce uszczęśliwić. Dziś śmiało można powiedzieć, iż każdy to czuje, od największego pana do najbiedniejszego robotnika, jaką krzywdę nam wyrządzają ci, którzy nam odebrać chcą religią przez wykłady w niezrozumiałym języku. Słusznie też kochana „Praca“ po męzku wystąpiła wobec ministra, bo nie jękami ani lamentami podźwigniemy się z biedy. Dotychczas jeszcze było tak, chociaż nie wszędzie, że religia i czytanie odbywało się po polsku, lecz wielkiej korzyści z tego nie było, gdyż objęty tem był tylko oddział średni. Było to tylko godzinę tygodniowo, a przy wielkim udziale dzieci, jak słusznie jeden z mówców na wiecu w Poznaniu powiedział, nie wypadnie na jedno dziecko ani minuty polskiego. Rodzice zaś słysząc, że w szkole jeszcze po polsku uczą, nie bardzo w domu dzieci uczyli czytać i pisać po polsku — ale zostawiali to szkole. Teraz zaś, gdy ze szkoły usuną zupełnie język polski, to każdy bardziej będzie się stosował do nawoływań: **„Uczcie dzieci w domu czytać i pisać po polsku.“**

Ale do tego trzeba ich pobudzić i zachęcić, a do tego prowadzi, jak Szan. Red. pisze, zwoływanie wieców. Jak takie wiece wpływają na lud sam, to byłem świadkiem tego, gdy po ukończeniu pewnego wieca lud zawołał: „Nie damy się zniemczyć!“ — „Niech żyje Polska!“

Wprawdzie zwoływanie wieców jest połączone i z trudnościami i nieprzyjemnościami, ale przy dobrej chęci wszystko ustąpi.

Zwołaniu wieca generalnego, jak w roku zeszłym, jestem przeciwny — chociaż i taki ma swoje dobre strony — taki wiec generalny kosztuje jednak dość pieniędzy — a bogaci się tylko rząd t. j. kolej. Lepiej te pieniądze obrócić na elementarze. Na wiec taki zwykle jechali tacy, którzy czuli, iż z pewnością uczyli w domu dzieci czytać i pisać po polsku — ale tu chodzi o to, aby na wiec taki mógł przyjść każdy, a przedewszystkiem, aby rozbudzić ducha w tej klasie pracującej i w tych, którzy nie mają na to, aby się tam tak daleko w drogę na wiec puszczać. — Wiece powinny się więc odbywać nie na cały powiat — obwód komisarski, bo i ten jest jeszcze za wielki, ale takie wiece powinny się odbyć przynajmniej w każdej parafii, a gdy ta jest mała, to jeden dla 2 lub 3 parafii, a jestem przekonany, iż wywrą one prawdziwy skutek. Starać się

też trzeba o to, aby i matki Polki mogły przyjść na nie, aby i one zostały zachęcone, bo od nich najbardziej wychowanie zależy.

Zwoływanie wieców jest połączone jeszcze i z tą trudnością, że nie wszędzie można znaleźć lokal. W mieście już prędzej, ale gorzej na wsi. —

Najbardziej chodzi też o to, kto ma zwoływać wiec np. w naszym powiecie — dawniej robili to panowie — teraz się z nich porobili kolonizatorzy, a tych kilku co tu jeszcze są, to zdaje mi się, iż się tem nie bardzo zajmują, gdyż jest tu pono Komitet powiatowy, ale kto do niego należy to prawie nikomu nie wiadomo, gdyż jednego razu było zebranie przedwyborcze to było może z trzech panów i 2 księży, trwało 10 minut, uradzono kompromis z centrowcami i koniec.

Nie wiem, czy gdzie indziej też tak jest, ale u nas jest to faktem. — Przy dobrej chęci jednak i temu można zaradzić, gdyż mamy teraz już światłych obywateli i na wsi ludzi, którzy się tem z pewnością zajmą, byle był kto, ktoby pomiędzy nich rzucił słowo zachęty — o mówców zaś, którzyby drugich pouczali i zachęcali to jestem przekonany, że wcale nie trudno. Czytam nareszcie, że w Poznaniu już się zebrało kilkudziesięciu obywateli, aby obmyślić środki przeciw znanemu rozporządzeniu (oby tylko obmyślili dobre!)

Na tem kończę list niniejszy z tem pragnieniem, aby Sz. Red. umieściła go w swem piśmie — proszę, aby go inne pisma powtórzyły. Jestem człowiek od pracy i pługa, to nie mam czasu do każdej z gazet pisać, chociaż czytam prawie wszystkie z Poznania. Dalej chciałbym wiedzieć co o tem sądzi Sz. Red. lub inni Czytelnicy — a jeżli dobrze, to napiszę więcej o naszych stosunkach w następnych listach.

Pozdrawiając Sz. Red.

zostaję z uniżeniem

W. z pod Leszna.

(O dalsze korespondencye prosimy. Na wyrażone powyżej zapatrywania godzimy się. Przyp. Redakcyi.)

Między młotem i kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Kennan, Amerykanin, który z racyi swego kilkoletniego w Rosyi pobytu, przechwala się jej znajomością błąd jednak popełnił, opierając się na powadze petersburgskiego Towarzystwa geograficznego, na dowód, że kilkoletni pobyt w Rosyi nie wystarcza. Czerpiąc dane z tego źródła, twierdzi, że przez czas panowania Aleksandra II tylko 480 przestępców politycznych na Sybir zesłano. A my przecie najlepiej wiemy to ze smutnego doświadczenia, że śmiałoby do tej cyfry można dodać 2 a nawet 3 zera i jeszcze nie byłoby za wiele.

Widzieliśmy jednak, jak dziennikarz usprawiedliwił kłamstwo co do liczby poległych w bitwach, jesteśmy też pewni, że przyciśnięci do muru i ten fałsz także umieliby usprawiedliwić. Wykrętów im nie brakuje; zawsze i na wszystko mają ich dość w zapasie. Zresztą u nich miłość ojczyzny istotnie jest występkiem kryminalnym, cóż zatem dziwnego, że zesłańców politycznych zaliczają do kryminalistów? Gdy im będzie potrzeba, tak samo kryminalnych zaliczą do politycznych. W ten sposób istotnie obie kategorye można zredukować do cyfr dowolnych. Nikt im też zabronić nie może twierdzenia, że za obecnych rządów tylko się dwóch rocznie na Sybir zsyła.

Wymowny dowód, że ostrożnie należy traktować nawet takie źródła, jak uczone towarzystwa. — Prawda, że i tam może się znaleźć czasem prawda, ale kredyt jej osłabiają inne naukowe fałsze. Aby zaś umieć zrobić wybór, na to trzeba do gruntu znać stosunki i ludzi. Inaczej z dobrą wiarą będzie się powtarzać podobne fałsze jak ten, że tylko 480 zesłano.

Że dzieło Anuczyna, z którego Kennan tę cyfrę zaczerpnął, jest dziełem pracowitem, kosztownem, pięknie wydanem; — że na niem wreszcie petersburgskie Tow. geograficzne położyło swą pieczęć — to jeszcze niczego nie dowodzi. Owszem, tem większą budzi nieufność, bo tam się za prawdę orderów nie dostaje, a kłamstwo czasem stroi się w wykwintne suknie i z natury rzeczy więcej się mu pracy poświęca, niż prawdzie.

Zresztą wiemy kim był Anuczyn. Jako gubernator radomski zostawił po sobie niezatarte wspomnienia okrutnych rządów. Kim on był, niech powie mały, ale wymowny fakt. Założył on ogród publiczny w Radomiu, a z tego powodu u wejścia umieszczony został moskiewski napis: „Anuczynskij sad“ (Ogród Anuczyna). Jakiś psotnik skradł jedną literę *s* i w ten sposób została charakterystyczna nazwa „Anuczynskij ad“ (Piekło Anuczyna). To komentarzy nie potrzebuje.

A niepodobna przypuścić, aby szły w parze tak dzikie instynkta z miłością prawdy, jaka jest podstawą każdej nauki. On, ślepe narzędzie rządu, miałby działać wbrew jego polityce — to nawet nieprawdopodobne. Podawał więc cyfry takie, jakie dla rządu wygodniejsze — oto cały sekret.

Ale oprócz polityki, jest tam jeszcze jeden bardzo ważny powód, iż z wielkim znakiem zapytania należy traktować takie źródła naukowe, choćby najozdobniej były wydane.

Moskal bowiem o ile jest pod wielu względami a szczególniej jako policyjny agent bardzo sprytnym, o tyle znów niekiedy bardzo naiwnem i ograniczonem narzędziem rządu. Wielu przykładami możnaby to stwierdzić; na teraz jednak niech jeden wystarczy. Naczelnik powiatu odbiera rozkaz zbadania temperatury a zarazem zastrzeżono, aby o wysokości jej stopnia donosił gubernatorowi. Rejwach tedy wielki w powiecie, pan naczelnik wszędzie rozpuszcza całą swoją armię szpiegów na zwiady, gorliwie szuka buntownika, już wynalazł kilku podejrzanych, ale głównego „temperatury“ jeszcze nie pochwycił. Nic nie pomagają ni groźby ni kułaki, nikt w całym powiecie o takiem nazwisku nigdy nie słyszał. Pan naczelnik w strachu. Myślał, że dostanie order lub gratyfikacyę, a tymczasem może go spotkać nagana, jeśli nie dymisya. Ale trudna rada, upłynął termin, trzeba zdać raport o swych naukowych badaniach. Ze wstydem więc donosi gubernatorowi, iż mimo wszelkich wysiłków zaledwie tylko podejrzanych wyszukał i tych radzi porządkiem administracyjnym na Sybir zesłać, choć właściwie nie ma żadnego dowodu, aby się który „temperaturą“ nazywał.

Zachodzi tu pozorna sprzeczność. Muszę więc dodać, że Moskal sprytny, ale tylko w ujemnym kierunku, choć wogóle niepozbawiony zdolności. Gdy idzie o łapówkę, o kradzież, o kłamstwo, nikt się z nim mierzyć nie może. A szczególniej niezrównany jako policyant; bo obok wybornej tresury, posiada nadzwyczaj węch rozwinięty w tym kierunku. Rząd wszelkich dokłada starań, aby człowieka na maszynkę zamienić — w tem leży sekret trwałości caratu.

Stróż, dymisyonowany żołnierz, polewa ulicę, mimo, że deszcz pada. Zwracam mu uwagę, że to zbyteczne. Mnie nic do tego. Przykazano i koniec — brzmiała odpowiedź.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Owczy pęd.

„Pawiem narodów byłaś i papugą...“

Byłaś i — jesteś. Dziś możnaby o nas to samo powiedzieć, co i przed laty, nic się nie zmieniło u nas na lepsze, pod względem zamiłowania do naśladowania zagranicy i uprawiania cudzoziemczyzny.

Dawniej hołdowaliśmy w życiu codziennem — nie mówię o szkole, gdyż w tej i dziś to robimy — mowie i językowi łacińskiemu, uważając za szczyt uczoności i dobrego tonu, szpilkowanie naszej własnej mowy łacińskiemi cytatami. Z biegiem czasu łacinę wyrugował — ciągle tu mowa o życiu potocznem — język francuski. Dziś znowu w naszych najwyższych towarzyskich sferach zapanowała mowa angielska.

My zaś, szary tłum, potrochu naśladujemy, a przynajmniej staramy się naśladować górne sfery, zaczynając — w każdym składzie paplaniną niemiecką.

W naszej zaściankowej, parafiańskiej naiwności, wydaje się nam nieraz, że każda rzecz, choćby najgorsza, byle była zaopatrzona w stempel czy etykietę zagraniczną, już tem samem musi być o całe niebo lepszą od swojskiej rzeczy, dlatego właśnie, że ta ostatnia nie ma na sobie cechy cudzoziemskiej.

Nic komiczniejszego nad owe napisy na różnych drobiazgach czysto szwabskiego pochodzenia i wyrobu, w rodzaju: *Berlin, garantirt*, i t. p

Czy to będzie kapelusz, krawat, mydło, piernik wreszcie, wszędzie ten szych, wszędzie ta blaga, a na ten lep najłatwiej schwycić — Polkę naszą.

Świadczy to także o rozwiniętej w nas w wysokim stopniu zdolności do autosuggestyi, przedstawiającej nam w innem, lepszem, niż jest w istocie, świetle -- każdą rzecz, zaopatrzoną w stempel zagraniczny, czy też w napis cudzoziemski.

Przejdźmy się po ulicach naszych miast i miasteczek, i przypatrzmy się rozmaitym szyldom. Jaki piękny kalejdoskop przedstawi się naszym zdumionym oczom!

Oto „*Hotel de France*“, „*Grand Hotel Victoria*“ i t. d.

Dalej widzimy zeszyt nutowy zatytułowany „*Morceau de salon*“ w sąsiedztwie wielu innych „kawałków“ „*pour piano*“, na których pstrzą się napisy francuskie i niemieckie....

Weźmy do ręki jaki dziennik, w ogłoszeniach czytamy: Poleca się „*Pension de famille*“, *Madame* czy *Mademoiselle*, powróciła z zagranicy (naturalnie z Paryża) z doborem świeżych fasonów paryskich, przyczem wymienia się w ogłoszeniu tylko imię madamy odpowiednio zfrancuzczone — a nigdy nazwisko polskie.

A nasze sporty, czyż nie są przeładowane temi różnemi cudzoziemskiemi nazwami i terminami, których samo wyliczenie zajęłoby cały słownik?

To samo, co o rzeczach, możemy powiedzieć o ludziach. Największy nieuk, lecz posiadający kilka groszy w kieszeni, przejechawszy się na czas pewien zagranicę, wraca z niej *uczonym* — i już nie-zna rówieśnika z ławy szkólnej a zwłaszcza jeżeli tenże choć uczciwym - - ale zawsze tylko rzemieślnikiem...

O karyerze polskiego artysty w kraju, stanowi często powodzenie względne, osiągnięte w jakiej mieścinie włoskiej, roztrąbione przez usłużną famę (dziennikarską) do rozmiarów prawdziwego tryumfu.

Od niejakiego też czasu weszło w zwyczaj, zwłaszcza u polskich artystek, przybieranie nazwisk.... *włoskich*, zapewne w celu prędszego zyskania rozgłosu, lub przez wstyd własnej narodowości.

W tekstowych reklamach dzienników, czytujemy niejednokrotnie, że p. N. pojechał, a p. X. wrócił z Paryża — tak jakby to było jakąś zasługą, lub podnosiło wartość człowieka.

Jeśli Anglik, gdziekolwiek bądź by się znajdował, zawsze pozostaje Anglikiem, to Polak, zaraz po przekroczeniu granicy, stara się ustroić w cudze piórka, zrzucając skórę własną. Ręczymy i zapewniamy na zasadzie własnego doświadczenia, że tu, u siebie, przez źle zrozumianą uprzejmość względem Niemców nie potrafimy w obec nich zachować należytej godności i powagi.

Polka nasza wstępując do składu, choćby jakiego chałaciarza — już mówi z przyjemnością po niemiecku. Niech się zbierze dziesięć osób, z których dziewięć naszych braci, a jeden tylko cudzoziemiec, to zaraz tych dziewięciu, znowu „przez uprzejmość“ zacznie szwargotać językiem naszych — serdecznych...

A cóż dopiero mówić o naszem zachowaniu się zagranicą!

Do swojszczyzny nietylko że nie mamy przywiązania, ale wprost zaufania, nie wierzymy we własne siły i zdolności.

Cudzoziemców trzeba, żeby nam zakładali fabryki, przedsiębiorstwa — żeby „odkrywali“ piękne miejscowości, żeby wynajdywali u nas talenty...

Głośny Szczepanik potrzebował przedewszystkiem uznania zagranicy, a liche niemieckie bady jeszcze dotąd są przenoszone nad polskie uzdrowiska.

Wszędzie więc, gdzie rzucić okiem, cudzoziemczyzna ma powodzenie, jeszcze dotąd akcent „paryski“ należy do dobrego tonu, każda rzecz (i człowiek), nabiera dla nas smaku i ceny, po zaprawieniu jej sosem francuzkim, ba! nawet bawić się nie potrafimy bez zaprawy cudzoziemskiej.

Znamienne to jest wielce dla naszego charakteru narodowego, i niestety, niezbyt dobrze świadczy o nas. To stałe przekonanie, że zawsze i we wszystkiem, potrzeba nam marki obcej, czegóż to dowodzi? Dowodzi tego, że sami z siebie mało co potrafimy zrobić i z tem przeświadczeniem wcale się nie taimy.

U nas też najciężej być prorokiem we własnym kraju, i dopiero zagranica pasuje naszych artystów, pisarzy — na wielkich, podczas gdy my, będąc z blizka, tych wielkości nie dostrzegamy, sami, najwidoczniej nie wierząc we własną zdolność i siły.

Czyż to nie dowodzi — papuziego, nieudolnego naśladownictwa zagranicy, z ujmą dla polskości?

Upamiętania więc i naprawy!

Łyk...

Walka z wiatrakami.

Gdyby życie nasze było poematem, jak tego pragnął jeden z wieszczów, nie znalibyśmy z pewnością pesymizmów, kulturkampfów, hakatystów, anarchistów, nie słyszelibyśmy o wojnie z Boerami, wrzeniu w Chinach, głodzie w Indyach, ugodowa prasa nasza wyrzekłaby się polityki kokietującej z rządem — i żyłaby z ludowcami w najprzykładniejszej, karmelkowej zgodzie, a przedewszystkiem nie skarżylibyśmy się na biedę, na ciężkie czasy. Ale, niestety! życie miodem i mlekiem nie płynie; mnóstwo w niem piołunów i żółci, kolców i cierni; częściej łzy wyciska niż chwilą spokoju obdarza.

Wina tu po stronie człowieka, istoty nigdy i niczem nie nasyconej, która dopiero, jak szekspirowski Tymon Ateńczyk, po szkodzie do rozumu przychodzi, ale i wtedy zamiast do winy się przyznać, również jak bohater mistrza Wiliama, przeklina urządzenie świata, wyrzeka i pociesza się słowy: „Wszystko tu krzywe, nic nie stoi prosto: w naszej przeklętej człowieczej naturze, nic — prócz łotrostwa!“ A jednak życie powtarza mu codziennie od świtu do zmroku to, co Tymonowi powtarzał Apemantus: „Stan, choć najlepszy, gdy sam sobie nie rad, jest tylko ciągiem kłopotów i cierpień, od najgorszego stanu stokroć gorszym; byle najgorszy na tem, co ma przestał.“

Bo zaiste — każdy jest tkaczem swej doli, swego szczęścia. Prawda, że warunki życia stają się coraz bardziej trudnemi, lecz dzieje się to dlatego, że zwiększają się też nasze wymagania i pożądania. Tego nie spostrzegamy, nie bierzemy w rachubę. Gdybyśmy byli

więcej baczni, ograniczylibyśmy nasze pragnienia, uznalibyśmy w wielu razach ich bezzasadność i nieczulibyśmy się nieszczęśliwymi, pokrzywdzonymi rzekomo niesłusznie przez los; gdybyśmy byli więcej baczni, wtedy nawet zawód niespodziany zastawałby nas przygotowanymi, obronnymi, nie, jak dziś, z próżnemi rękoma, bez rady, tylko ze słowami skargi i żalu na ustach.

Ciężkie dziś życie, na świecie coraz ciaśniej, potrzeby człowieka wzrastają z dniem każdym a cena pracy jest niemożliwie nizka. Ale czy stan rzeczy zmieni się na lepszy, czy poprawimy położenie za pomocą wykrzekań i wzdychań? Każdy z nas wie, że to niepodobieństwo, jednak zamiast wziąść się energicznie do dzieła, marzy o pieczonych gołąbkach, oczekuje głównej wygranej, nie wykupiwszy loteryjnego biletu. Krótkowzroczność, niezaradność, niepraktyczność i lenistwo — oto grzechy, za które pokutujemy sami a z nami rodziny nasze. Jednak nie wszędzie się tak dzieje. Obejrzyjmy się, spojrzmy ku Zachodowi. I tam warunki życia nie są lepsze, i tam praca należycie nie jest wynagrodzoną, mimo to ludzie nie opuszczają rąk, nie wyrzekają, lecz radzą sobie i żyją. Ale tam każda korporacya trzyma się solidarnie, wiedząc, „żo gromada, to wielki człowiek“; że czego dwiema rękoma zrobić nie można, to siłą zbiorową osiągnie się bez trudności. Pamięć o tej zasadzie skłania każdą korporacyę zagranicą do tworzenia kas zaliczkowo-wkładowych, do budowania domów własnych, do zakupywania gruntów miejskich i wznoszenia na nich mieszkań letnich, do urządzania włanych składów spożywczych i t. p. Tym sposobem Anglik, Niemiec, Francuz, Szwajcar, Belgijczyk ma w danym razie pomoc pieniężną bezprocentową, na termin dłuższy i drobne wypłaty; mieszka tanio, wygodnie i hygienicznie; podczas lata może odpocząć lub przynajmniej rodzinę świeżem powietrzem pokrzepić; za wszelkie potrzeby codzienne, zacząwszy od spożywczych, do bielizny, ubioru, obuwia, nawet za czasopisma, książki i rozrywki płaci znacznie taniej, niż każdy z nas. Wiemy o tem dobrze, wzdychamy do podobnych urządzań przezornościowych i siedzimy z założonemi rąkoma, czekając chyba, aby nam, one, jak ongi Izraelitom manna, z nieba spadły. Jeżeli zaś u nas powstaje coś podobnego, to prowadzi żywot suchotniczy, albo też wkrótce istnieć przestaje z braku poparcia, niewypłacalności członków stowarzyszonych lub niedołężnego zarządu.

A życie nad stan małoż się u nas do biedy ogólnej przyczynia? Fatalna z czasów saskich maksyma, najnierozsądniejsza w świecie: „zastaw się, — a postaw się“, wciąż posiada u nas racyę bytu, jest przestrzegana i w pałacach i w skromnych mieszkaniach. My musimy wyprawiać imieniny z winem, a gdy się w inną, zwykłą porę gość w domu zdarzy, występować z gorącą kolacyą koniecznie! Iks nie pójdzie na tańsze miejsce do teatru, bo jest „dobrze urodzony“ i ma „stosunki“, dla których musi zachować *decorum* i opłacać procenta lichwiarskie. U nas buhalter, rozporządzający dochodem zaledwie 1500 mk. rocznie na utrzymanie swoje i rodziny, z pięciorga głów złożonej, musi jadać po koncercie kolacyę z koniakiem, kawą i likierem, należeć do dwóch lub trzech stowarzyszeń sportowych, bywać koniecznie na wszystkich zabawach, a dodatku — grywać w karty. — U nas uczczenie czyichś zasług nie obchodzi się bez bankietu z szampanem, spacer i karnawał bez strojnych sukien, a pogrzeb lub zaślubiny bez karety. Na każdym kroku rujnujemy się dobrowolnie, chociaż rozum czego innego nas uczy. Niemiec naprzykład, człowiek średniej zamożności uważa, że przyjął gościa aż nadto kosztownie, jeżeli go poczęstował cienką kawą z ciastem domowej roboty. Rodzina, idąc wypocząć po pracy do jakiegoś ogrodu lub restauracyi, bez żenady posila się prowiantem zabranym z domu, a na miejscu co najwyżej na kufel piwa sobie pozwoli. Tam życie towarzyskie nie polega na strojeniu się, jedzeniu i piciu, lecz na wymianie myśli, zabawie spólnej. Każdy grosz szanuje, pamięta, że zdobył go ciężką pracą.

Jeszcze jedno zestawienie.

Narzekamy na sługi, że są złe, niesforne i drogo kosztują. Dla czego je trzymamy? — Bo bez sługi obejść się niepodobna! — słyszę odpowiedź. Przepraszam, bardzo podobna. Zagranicą tylko ludzie zamożni trzymają służbę, średniozamożne panie urządzają się tak: wieczorem na kartce spisują wszelkie przedmioty, które nazajutrz muszą zakupić w mieście, więc: mleko, masło, węgiel, mięso, szuwaks, świece i t. p.; karteczka, zaopatrzona w adres żądającej, rzuca się do skrzynki, umieszczonej w bramie i nazajutrz stowarzyszenie zajmujące się specyalnie dostarczeniem do domów prywatnych wszelkich przedmiotów z gospodarstwem domowem styczność mających, na oznaczoną godzinę, po cenie możliwie nizkiej, obstalunki załatwia. Pani domu sama, bądź z pomocą córek, przyrządza obiad, wieczerzę i t. p., „czarne“ zaś roboty: zmywanie garnków, oczyszczanie kuchni i t. p. spełnia posługaczka, bardzo tanie opłacana. Gospodarstwo w ten sposób prowadzone jest o sto procent tańsze, niż prowadzone ze służącą, przytem pani domu nie irytuje się krnąbrnością, złodziejstwem lub inną wadą służącej.

Ale u nas niepodobna prowadzić takiego gospodarstwa, bo panie nasze nie nauczone obmyśleć potrzeb dnia następnego. Nasze panie muszą po każdą rzecz posyłać oddzielnie, muszą mieć wciąż służące pod ręką, bo wiecznie o czemś zapominają, tak, że służąca jest u nas w gruncie rzeczy — posłańcem. Przytem, u nas, zakasać rękawy, stanąć przy kuchni — nie uchodzi, bo przecież: „nie po to wychodziłam zamąż, żeby być kucharką“, a ręce zgrubiały... oh! co za skandal. I nie dziwmy się, że tak jest: nasze żony nie są winne — jak je wychowano, takiemi też je mamy. My z kolei tak samo wychowujemy córki i złe trwa nieprzerwanie, trwać będzie dopóty, dopóki z wychowania nie usuniemy przesądów, z wykształcenia niepotrzebnego balastu naukowego, a na miejsce tego nie weźmiemy rozsądku i praktyczności. Ta reforma jest niezbędną, jeżeli pragniemy życie rodzinne mieć znośniejszem.

Wiem, że przemówienie moje wywoła burzę, również, że walczę z wiatrakami, jak rozgłośny hidalgo z Manszy; ale widząc złe, grzechem jest milczeć. Oburzajcie się, nadobne panie, nazywajcie mnie „ptakiem, co gniazdo własne kala“ — lecz zastanówcie się, ochłonąwszy, nad powiedzianem i jeżeli sami nie jesteście zdolni zmienić życia prowadzonego krzywo, to przynajmniej dzieci uczcie, jak uniknąć manowców, a co za tem idzie — biedy i nieszczęścia.

Prawdzic.

Modlitwa dziecka.

Gdy do modlitwy uklęknie dziecię
I swą duszyczkę wzniesie do Boga,
To jakaś radość idzie po świecie,
A w sercu cichną bóle i trwoga,
Gdy dobre modli się dziecię.

I przez złociste słońca promienie,
Przez tych gwiazd srebrnych przecudne blaski,
Przez nocy nawet ponure cienie
Płyną na ziemię szczególne łaski,
Gdy dobre modli się dziecię.

Chylą się trawki, chylą się drzewa,
Kwietnym kobiercem jaśnieją łąki,
Radośniej piosnkę swą ptaszek śpiewa,
Ziele swe barwne rozchyla pąki,
Gdy dobre modli się dziecię.

I milkną w dali odgłosy gromu,
Lśniąca łza smutku prędko osycha,
I anioł szczęścia wchodzi do domu,
I cała ziemia stoi wkrąż cicha,
Gdy dobre modli się dziecię.

I schodzą ku nam biali anieli
Po tych tęczowych promieniach zorzy
I całe niebo wraz się weseli,
Bo tak łaskawie słucha Duch Boży,
Gdy dobre modli się dziecię.

M. D.



Czołem, Bracia Sokoły!

Czołem! sokolska Drużyno!

Widzieliśmy Was przy odświętnej pracy, na boisku, a wśród niemych uścisków dłoni Waszych odczuliśmy, jak Wasze serca jednem olbrzymiem uderzają tętnem.

Bo Wy jednem ciałem i jednym duchem jesteście! I cześć Wam za to, bo żarem tego ducha niejedno się serce ożywia i dreszcz przyszłości idzie w masy, potężny i pełen młodości, rozlewny jak rzeka w porze wiosennych roztopów, a przecież spokojny, bo pewien swej siły...

Idea sokolska — to w pełnem tego słowa znaczeniu idea społeczna. Mówi nam ona: hartując ciało, hartujesz i ducha...

O, Sokoły polskie, jak Wy rozumiecie dobrze, że naszemu społeczeństwu dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebny hart ducha, siła przekonania, odwaga! Dlatego też hasło Wasze wyraża jedną z najgwałtowniejszych potrzeb naszego społeczeństwa, ucząc stałości w zamiarach, siły w wykonaniu, męzkości w nieszczęściu...

Pochwały godzien, kto wśród twardych życia kolei na duchu nie upadł i swych dążeń się nie wyrzekł; stokroć godniejszy pochwały, kto nietylko nie upadł, ale wśród gromów, bijących bezustannie, zagrzewa do jedności i męzkością swą i szlachetną dumą, co z poczucia siły wypływa, nawet wrogom imponuje.

Któż z nas, spoglądając podczas zlotu Sokołów w Poznaniu na wyćwiczone wybornie szeregi druhów, nie dostrzegł tajemnicy ich siły, wypisanej wyraziście na podziwu godnej jednolitości ruchów całych kolumn? Któż nie dostrzegł, że ta siła, która z każdego ich przebijała ruchu, z jednolitości, subordynacyi i wzorowego porządku wynika?

„Jednością silni“ — te słowa zdawały się jaśnieć nad każdem czołem, przemawiać z każdego spojrzenia, tkwić w każdem uściśnieniu dłoni.

Sokolstwo polskie ma wobec społeczeństwa swego tę wielką zasługę, że jest wyobrazicielem tej jednolitości dążeń i czynów, tego podporządkowania się osobistości dla dobra wspólnego, tej jedności — z której płynie siła i zdrowie. A, dodać trzeba, — ta jedność to — nie nadużywane w celach partyjnych hasło solidarności, lecz zdrowa, rozumnie-postępowa, świeżością i młodością tchnąca zasada.

Wyrazem wystarczającym tej jednolitości, tej spójności moralnej i fizycznej, tego braterstwa z wyboru — jest dla naszych dziarskich Sokołów jedno spojrzenie, jeden uścisk dłoni: już oni się rozumieją.

Jakąż wielką przysługę oddał nam ten pismak niemiecki, co chcąc w nas bryznąć jadem swej nienawiści, wyrzekł mimowoli pamiętne słowa: że Sokołom dość na jednem spojrzeniu i jednem niemem uściśnieniu dłoni, aby się zrozumieli.

I widzieliśmy, że nieme uściśnienie dłoni było dla naszych Sokołów stokroć wymowniejsze niż mowa — bo mówiło wszystko!

Całemu społeczeństwu brać przykład z Sokołów!

Ta jednomyślność ducha, której nie trzeba słów, aby się porozumieć — której wystarcza braterski uścisk dłoni: ta jednomyślność powinna być celem dążeń całego społeczeństwa. Gdziekolwiek dwóch Polaków się spotka, tam jedno spojrzenie, jeden uścisk dłoni wystarczyć powinien za zapytanie i odpowiedź: Pamiętasz, druhu, o naszej niedoli? Podaj dłoń, abyśmy wspierając się nawzajem, wspierali Ją, Wielką a Nieszczęśliwą, nas tak kochającą, a przez nas i przez wrogów w niewolę wtrąconą!

Dlaczego Sokolstwo nasze tak bardzo jest znienawidzone przez Niemców? Dlaczego pruska policya w swym przesadnym strachu woli w środkach ostrożności posunąć się wobec Sokołów zadaleko, choćby się tem ośmieszyć miała, niż narazić się na zarzut niedość uważnej?

Oto nie dlatego, żeby się dała uwodzić mylnej nadziei, że jednakowoż zdoła Sokołom udowodnić jakieś polityczne działanie, bo ona wie dobrze, że politycznej *roboty* nikt im nie udowodni, gdyż jej niema, — ale dlatego, że rozpoznaje polityczne *znaczenie* Sokolstwa, jako odrodzenie duchowe i fizyczne zwiastującej narodowi drużyny... Rząd widzi, że Sokoły są wyobrazicielami tego odrodzenia narodowego, któ-

rego on się obawia i przed którem drży... On widzi, że w Sokolstwie naszem ujawnia się cała niespożytość ducha polskiego, który po najstraszniejszych przejściach odradza się w synach jeszcze bardziej męski, stanowczy, jednolity i zdrowy, jak ongiś w ojcach był takim.

I dlatego rząd marszczy brew na samą myśl o tem, że nasze Sokoły wzrastają coraz bardziej, że idea sokolska wśród społeczeństwa coraz szersze zakreśla sobie widnokręgi... On wie, że w uścisku dłoni wypowiedzieć sobie można więcej, niż w długich stenografowanych mowach i dlatego radby i uścisk dłoni i spojrzenia, i ruchy pełne dziarskości i siły obłożyć swym zakazem tak, jak zakazuje mundurów i piórek na czapkach z obawy, że te piórka, śmiało pod wiatr skierowane, wzbudzają antymonarchiczne, rewolucyjne usposobienie.

A jednak, Sokole nasz, „zrodzony w niewoli, okuty w powiciu“, Ty wzlecisz w te strefy górne, gdzie żadne zakazy i żadne pęta Twych skrzydeł nie będą obciążać — a to dlatego, że jak sokół, szybujący w podchmurnej krainie bystrem okiem ogarnia milowe przestrzenie, tak i Tyś, Sokole polski, ogarnął okiem potrzeby społeczeństwa i prześcignąłeś swój czas, dostrzegłeś pole do pracy tam, gdzie go inni jeszcze nie widzieli, i wystąpiłeś jako zwiastun odrodzenia duchowego i fizycznego.

I cześć Ci za to!

Niechaj Twe skrzydła ogarną całą ziemię polską, jak długa i szeroka; niechaj polotu Twych skrzydeł nie tamuje żadna przeszkoda, zwycięsko zwalczaj przeciwności i siły wyrabiaj, siłę gromadź na pożytek i sławę narodu!

Spraw, Sokole nasz, aby w kraju, czy na obczyźnie, gdzie Polak się spotka z Polakiem — aby uścisnienie dłoni i spojrzenie jedno wystarczyło jako rozpoznanie wiernych Ojczyźnie uczuć, bratniego serca i męskiego ducha!

Twe społeczeństwo, Twój naród Cię w zamian zawsze radośnie witać będzie: Czołem!

Vester.



Bernard Chrzanowski, prezes Związku Sokołów w państwie niemieckiem.

Zlot Sokołów w Poznaniu.

W niedzielę, 12go Sierpnia, gościł Poznań w swych murach drogich gości — Sokołów. Zanim przejdziemy do szczegółów, zaznaczymy, że zlot powiódł się świetnie pomimo rozmaitych zakazów ze strony policyi i pomimo niezupełnie dobrej pogody. Największa zasługa w powodzeniu zlotu gniazd sokolskich przypada p. mecenasowi Chrzanowskiemu, którego niezmordowana energia i wytrawny zmysł organizacyjny objął wszystkie szczegóły zlotu zawczasu i wszystkie potrzeby uwzględnił. Wogóle komitet zasługuje na największe uznanie. Publiczność poznańska z żywem zainteresowaniem i serdecznem ciepłem witała „swoich“ Sokołów, a gdy już zbliżyła się chwila „odlotu“, każdy patrząc na dziarskie postacie, obiecywał sobie, że je zobaczy znów kiedyś, ale w jeszcze silniejszych i potężniejszych zastępach.

Pierwsze partye Sokołów przybyły już w sobotę.

Przybywających przyjmowawli w sobotę na dworcu członkowie komisyi kwaterunkowej i wskazywali im kwatery. Wieczorem w lokalu „Sokoła“ poznańskiego, w Eldorado, zapanowało życie, gdyż liczne gniazda sokolskie przybyły na pierwsze powitanie. Muzyka koncertowała różne miłe uchu polskiemu utwory, a druhowie zapoznawali się wzajemnie albo odświeżali stare znajomości koleżeńskie, słowem panowała serdeczność i wynurzanie uczuć przyjacielskich. Powoli też po koncercie rozchodzili się przybyli goście na przeznaczone kwatery, bo ćwiczący „Sokoli“ już o godzinie 6tej rano stanęli na boisku do jeneralnej próby.

O godzinie 9tej rano spieszyły do starożytnej świątyni Bożego Ciała całe tłumy publiczności, które po brzegi wypełniły kościół. Mianowicie płeć piękna niezwykle licznie była reprezentowaną. Uroczystą mszą śpiewaną odprawił ks. prob. Kostencki a chór mięszany odśpiewał mszę polską.

Z kościoła udali się Sokoli do „Eldorado“ na śniadanie. Nastrój w ogrodzie był bardzo serdeczny, odnawiano stare przyjaźnie, zawierano nowe, słowem wiał z całego zebrania duch prawdziwie polski.

Około godziny 12-tej nastąpiło otwarcie zlotu, na które licznie druhowie się stawili. — Nim zlot otwarto zaśpiewano jednę zwrotkę pieśni sokolskiej: „Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat.“

Gdy śpiew skończono zabrał głos prezes związku, druh mecenas Chrzanowski,

na powitanie przybyłych Sokołów. — Niepodobna nam tu nawet w streszczeniu tego spokojnego, męskiego, a przytem od serca płynącego przemówienia podawać, trafiło ono do wszystkich zebranych, co świadczyło liczne gromkie „Czołem“ zebranych druhów. Druh Chrzanowski podniósł całą niedolę Sokolstwa polskiego, a szczególnie zachodzące przy urządzaniu zlotów trudności i opowiedział, co zakazano na dzisiejszym zlocie, do czego też druhowie zastosować się powinni, szczególnie prosił, aby nie dać niczem powodu do zakłócenia zlotu.

Dowiedzieliśmy się więc, że tym razem policya poznańska specyalnie skwapliwie zajęła się ograniczeniem osobistej wolności Sokołów. Nietylko zakazano Sokołom galicyjskim i czeskim przybycia na zlot w Poznaniu, ale nie dozwolono pochodu przez miasto, zakazano publicznego noszenia sztandarów sokolskich i używania uniformów na ulicach. A jak gdyby tego było mało, policya zażądała, aby jej podano naprzód do cenzury pieśni, które miano śpiewać. Zakazano pieśni „Bracia rocznica.“ Lecz i tego było mało, a hakatystyczne umysły w pogoni za nowym czynem antypolskim wpadły na pomysł idyotyczny, aby niewolno było kobietom być obecnemi na ćwiczeniach i na zabawie. Narobiło to tyle śmiechu, że szanowna policya zakaz sama cofnęła. Ale się gruntownie ośmieszyła.

Mecenas Chrzanowski, opowiedziawszy dobitnie i treściwie niesłychane trudności, pod jakiemi zlot przyszedł do skutku, zapewnił wśród gromkich okrzyków i oklasków, że przecież Sokoli muszą coś znaczyć, skoro ich się tak bardzo obawiają. Dalej zapewnił, że żadne zakazy nie zachwieją Sokołów, przeciwnie pobudzą ich do tem większej energii i pielęgnowania „zdrowego ducha w zdrowem ciele.“ Im większy ucisk, tem większa odporność. Nikt też nie zdoła zabronić Sokołom mówić po polsku. P. Chrzanowski omawiał poszczególnie wszystkie zakazy, któremi zaszczycono zlot Sokołów.

Gdy wspomniał o tem, że wzbroniono udziału w zjeździe Sokołom Galicyjskim i że z tego powodu nie mógł przybyć naczelnik Związku p. Durski, skutkiem czego wydział tutejszy postanowił uczcić 25 letni jubileusz jego pracy na polu gimnastyki nazwaniem obecnego zlotu zlotem imienia Durskiego — zerwała się prawdziwa burza oklasków, której koniec położył dopiero dzwonek. Przemówienie swoje zakończył p. mecenas Chrzanowski tak:

„Jedna z niemieckich poznańskich gazet napisała, że Sokoli nie powiedzą wprawdzie, iż przybyli do Poznania po to, aby odbudować Polskę, ale można to odczuć z ich ócz i uścisku dłoni. Sądzę, druhowie, że nie mogę was serdeczniej powitać, jak prostem spojrzeniem i uściskiem dłoni: Czołem!“

Gdy p. Chrzanowski mówić przestał, oklaskom nie było końca. Następnie przemawiał również bardzo ciepło p. Preiss, prezes wydziału poznańskiego „Sokoła.“ Druh Preiss dał pobieżny historyczny pogląd na dzieje Sokolstwa w Poznańskiem. Podniósł, jakie trudności napotykano przy zawięzywaniu gniazd sokolich i jak powoli myśl sokolska zjednywała sobie uznanie i zamiłowanie w kołach społeczeństwa naszego.

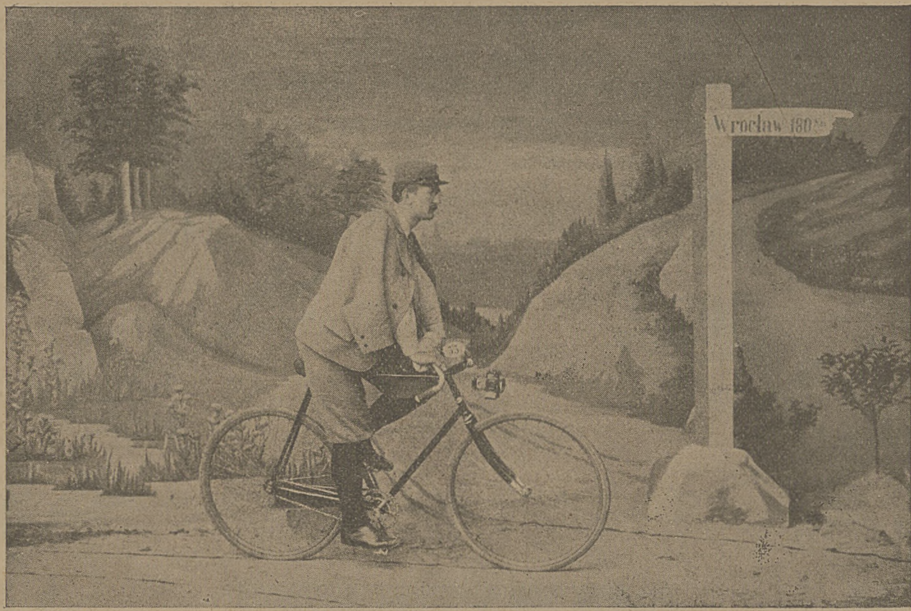


Antoni Durski, naczelnik-jubilat Związku Sokołów w Galicyi.

Dzisiejszy zlot mimo wszelkich przeciwności może być jednak zaliczonym do najkorzystniejszych pod względem popisów gimnastycznych, gdyż 380 druhów ćwiczących zgłosiło się do zlotu. Jest to dotąd niebywała liczba; gdyż na zeszłym zlocie, tylko coś przeszło 200 się ćwiczyło. Mówca podniósł żal do inteligencyi, która zamiast stawać na czele gniazd sokolskich, daje gorący obraz obojętności; nie czyni tak inteligencya innych narodów. Przemówił potem od serca i treściwie w imieniu delegatów druh Szmak z Berlina, dziękując „Sokołom“ poznańskim za koleżeńskie i serdeczne przyjęcie. P. Szmak obrał sobie za motyw do jędrnego pozdrowienia myśl o tych, „którym Sokołami“ być nie wolno“, t. j. o rodakach naszych z Kongresówki. Było w tem przemówieniu kilka ciętych zdań, a wzruszającą była chwila, gdy w zręcznym zwrocie do p. Chrzanowskiego, zaklinał go, aby przyrzekł, że nie opuści standaru sokolego i naczelnictwa bez względu na to, jakie przyjdą czasy. Niejednemu łzy stanęły w oczach, a niejeden płakał, gdy dzielny naczelnik podniósłszy dłoń w górę złożył publiczną obietnicę, że Sokoła nigdy nie opuści, a głos mu drżał ze wzruszenia, a może i z tego, że widział, jakiem rozrzewnieniem przejęła ta chwila wszystkie serca.

Na zakończenie zaśpiewano: „Hej Bracia Sokoły“ i na tem zakończyła się pierwsza część Zjazdu.

Po godzinie czwartej rozpoczęły się ćwiczenia gimnastyczne. Poprzednio wyniesiono kilkanaście sztandarów poszcze-



W. Frąckowiak, przodownik z Poznania, w drodze do Wrocławia.

gólnych gniazd sokolich, które rozwinięto przy trybunie. — Niezadługo naczelnik druh Gładysz zajął miejsce na osobnej wywyższonej estradzie, ażeby komenderować ćwiczeniami. Wkrótce też wojskowym marszem wyszli ćwiczący „Sokoli“, których publiczność powitała oklaskami. — Przemaszerowali „Sokoli“ zgrabnie obszerne i dogodne boisko, poczem się zaczęły wspólne ćwiczenia wolne, przyczem głównie w grę wchodziły ruchy rękoma. Przy wykonywaniu tych ćwiczeń widać było pewność ćwiczących, którzy na dany znak komendy ruchy wykonywali. Postawa gimnastyków była dzielna. Ćwiczenia dowolne pojed. gniazd były wprost zadziwiające. Można tutaj dopiero podziwiać w obrotach siłę muszkularną i znakomite wćwiczenie się pojedyńczych gimnastyków. W dowolnych ćwiczeniach gniazd podziwiać było można dziarskość naszych Średzian, Pałuczan, Kujawiaków, Berlińczyków Ślązaków i t. d. i t. d., którzy niestrudzenie ćwiczyli na przyrządach a świetnem wykonaniem huczne zbierali oklaski.

Nie słusznem byłoby też przepominać o pięknym reju kolarzy, o tym świetnie wyćwiczonym kadrylu cyklistów, w którym przytomność umysłu współzawodniczyła o lepsze ze znakomitą umiejętnością władania kierownicą i niepospolitą biegłością normowania ruchu i biegu. Po dzielnych ćwiczeniach maczugowych i współzawodach w rzucaniu dyskiem i oszczepem a jednocześnie w skokach o tyczce, zakończyły się popisy ogólnemi oddziałowemi piramidami z zakresu akrobatyki ku prawdziwej chwale drużyn, poszczególnych naczelników a przedewszytkiem głównodowądzącego druha Gładysza.



S. Bendlewicz, prezes, Pleszew.

Śpiewem sokolskim z druhem naczelnikiem pomaszerowali gimnastycy kolumnami z boiska do szatni. W końcu sprawiono jeszcze owacyą druhowi naczelnikowi Gładyszowi, którego „Sokoli“ wynieśli na barkach na boisko i obnosili wśród śpiewu i muzyki, a publiczność biła serdeczne oklaski i wołała „Czołem“ dzielnym Sokołom i ich naczelnikowi. Bawiono się jeszcze w ogrodzie do godziny 10, poczem ruszono do sali ogrodu zoologicznego, gdzie się bawiono wspólnie. Na sali zapanowało znów życie w całej pełni. Nastąpiło potem pożegnanie; poprzednio odczytał prezes Preiss liczne telegramy, jakie nadeszły na zlot, a wiceprezes druh K. Rzepecki w jędrnej i treściwej mowie pożegnał uczestników. W imieniu delegatów zabrał głos druh Królikowski ze Śremu, podnosząc znaczenie gimnastyki i dziękując za urządzenie zlotu. Przemówił także druh Ignacy Andrzejewski, którego słowa przyjęto żywemi oklaskami i „Czołem.“ Oprócz tego jeszcze kilku innych Sokołów przemawiało. Śpiew przeplatał przemowy.

Udział w zlocie wzięło około 900 druhów Sokołów, a reprezentowanych było 30 i kilka gniazd związkowych. Ćwiczyło do 400 gimnastyków licząc w to kolarzy. Zlot ostatni wykazał znaczny postęp w rozwoju idei sokolej, gdyż w ostatnim zlocie z roku 96 brało udział tylko około 250 ćwiczących.

Władza policyjna była reprezentowa-



Zarząd Oddziału Kołowników „Sokoła“ Poznańskiego.

W. Karge, sekretarz. **W. Frąckowiak**, przodownik.
M. Zabłocki. **B. Samoliński**, prezes. **St. Tuszewski**, skarbnik. **J. Słomiński.**

ną przez kilku komisarzy i kilkunastu policyantów miejscowych; prócz tego spacerowało między publicznością ze 20—30 tajnych urzędników, którzy mieli czas podziwiania dziarskich gimnastyków, gdyż nigdzie spokoju nie zakłócono.



Dr. A. Dzięd*zielewicz, prezes, Lwów.

Komitet zlotu wywiązał się świetnie ze swego zadania. Przygotował wszystko i przeprowadził tak, że zasłużył sobie na uznanie. Mimo niesłychanego ścisku w ogrodzie i na boisku, spokoju nigdzie nie zakłócono, a uwijający się liczni tajni komisarze i policyanci nie zdołali zebrać ze zlotu pożądanego dla siebie materyału. Jednem słowem turniej sokolski jest i pozostanie nazawsze świetnem świadectwem rozwoju naszego Sokolstwa.

Obok chwil podniosłych nie brakowało też pewnego komizmu, gdy mianowicie policya przerywała zebraniu śpiewanie pieśni polskich, jedną po drugiej ogłaszając za zabronioną, a każdy taki zakaz drwinkami i salwą śmiechu przyjmowało zgromadzenie.



Preiss, prezes, Poznań.

Niemieckie pisma zaznaczają, że zlotu niewiele co było widać na zewnątrz; bardzo wierzymy, gdyż druhowie nie poszli przykładem niemieckich „turnerów“ i nie włóczyli się pijanymi bandami po mieście, nie przesiadywali w „Bismarkstunelach“, lecz zachowywali się poważnie i z godnością.

Wzorowy porządek, karność, subordynacya, powaga i godność w zachowaniu się nacechowała zlot wszechsokolski tak sympatycznie, że zapewne przycichną głosy zobojętnienia czy nawet niechęci dla Sokolstwa, dążącego widocznie dobrą drogą do mety cielesnego i moralnego udoskonalenia.

Trudno zaprzeczyć siły i żywotności Towarzystwu, które mimo wszelkich trudności i przeszkód, stawianych ze strony władz, mimo oziębłego usposobienia, w jakie pogrążyły stosunki publiczność i mimo bierności pewnej części członków, którzy niegdyś żywo współpracowali w poszczególnych gniazdach sokolskich, rozrasta się, rozwija, udoskonala w ćwiczeniach gimnastycznych, ba, wzbija się nieledwie do wyżyn akrobatycznej biegłości, a przytem organizuje się wewnętrznie, uszlachetnia duchowo, zaszczepia i rozkrzewia wśród siebie cnoty obywatelskie nigdy niezanikłego znaczenia a to prawość, subordynacyą, odwagę i męstwo.



W. Gładysz, naczelnik, Poznań.

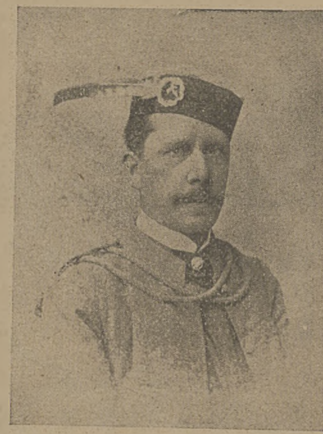
Niestety inteligencya miejska i wiejska nie „raczyła“ się pokazać. Adwokatów poznańskich brakowało, choć często bywają tam, gdzie ich nie potrzeba. Natomiast lekarze byli *in corpore*. Obojętność pożałowania godna.

Widz.

Marsz Sokołów.

Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat
Na nowe on życia koleje,
Z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad
I duch i ciało w nim mdleje.
Hej, bracia Sokoły, dodajmy mu sił,
By ruchu zapragnął, by powstał i żył.

W niemocy, senności i ciało i duch
Napróżno się dźwiga i łamie,
Tam tylko potężnym i twórczym jest ruch,
Gdzie wola silne ma ramię.
Hej bracia, kto ptakiem przelecieć chce świat,
Ten skrzydła sokole od młodych ma lat.



W. Turski, prezes, Kraków.

Więc dalej ochoczo w daleki ten lot
Sposobić nam skrzydła dla ducha,
Nie złamie nas burza, nie strwoży nas grzmot,
Gdzie woli siła posłucha.
Hej, bracia Sokoły, dodajmy mu sił,
By ruchu zapragnął, by powstał i żył.

Jan Lam.

Nasze Sokoły a policya.

Do biura policyjnego w małem miasteczku wchodzi naczelnik miejscowego Sokoła.

Naczelnik Sokoła: Dzień dobry.

Urzędnik policyi (mruczy niewyraźnie coś pod nosem).



J. Andrzejewski, prezes, Jeżyce.

Naczelnik Sokoła: Co pan mówi?

Urzędnik: Czy to pan sądzi, że do pana zaraz mówię? Mam dużo innej roboty. Niech pan czeka, aż przyjdzie kolej na pana. (Udaje, że bardzo zajęty pisaniem. Potem wyjmuje z szuflady papierosa i powoli okręcając go w palcach, zapala, potem przygląda się kółkom dymu).



Wspólne ćwiczenia Sokołów podczas IV. Zlotu w Poznaniu dnia 12-go sierpnia 1900.

Naczelnik: Panie!

Urzędnik: Kto tam?

Naczelnik: Ja nie mam czasu patrzeć na to, jak pan puszcza sobie kółka z dymu.



Ł. Osten, prezes, Witkowo.

Urzędnik: Niema pan tak się znowu co szurdzić. Choć pan trochę poczeka, to przecież świat się nie zawali. Wogóle



J. Nowicki, prezes, Ostrowo.

pan by miał mniej kłopotu, gdyby pan tego Sokoła puścił do licha.

Naczelnik: Pańskiej rady nie potrzebuję.

Urzędnik: Jak pan nie chce ocenić mojej dobrej woli — to trudno, — ja pana uprzedzam, że dopóki pan jest naczelnikiem tej bandy tych, tych, jakże się to nazywa — Sokołów, to na życzliwość od nas pan nie może liczyć.

Naczelnik: Ani jej też żądam, ani nie potrzebuję.

Urzędnik: Jeżeli pan nic nie potrzebuje, to niech mi pan lepiej czasu nie zabiera Akurat niby do tego jest urząd, żeby pan tu na pogawędkę przychodził!

Naczelnik: Ja tu przyszedłem z interesem i proszę mnie załatwić a o rzeczach postronnych w urzędzie nie gadać.

Urzędnik (wrzeszczy)*:* Panie! Pan mnie, pruskiego urzędnika, śmie uczyć, co ja mam mówić w urzędzie! Co to jest! Ja pana tu zaraz!..

Naczelnik: Proszę mnie załatwić. Od czego pan tu jesteś!

Urzędnik: My się jeszcze obliczymy, mój panie. Z policyą pruską nikt jeszcze bezkarnie nie igrał. (Ze złością, biorąc pióro). Czego pan chce?

Naczelnik. Chciałbym nareszcie raz się dowiedzieć, jak się rzecz ma z pozwoleniem na ćwiczenia publiczne i zjazd Sokołów?

Urzędnik: Co to, znowu zjazd? Jaki zjazd? Czy to nie lepiej w domu cicho siedzieć i dać pokój zjazdom? — Przecież już dawno pan musiał dostać odpowiedź.

Naczelnik: Nic nie dostałem. Po nią przyszedłem.

Urzędnik: Co ja mam kłopotu z tymi Sokołami! Tu pisz protokuły, tam odpowiadaj na podania albo dozoruj zebrań. Żeby to takie pomysły diabli...



K. Gączerzewicz, prezes, Bydgoszcz.

Naczelnik. Pozwolenie jest, czy niema?

Urzędnik: Zaraz. Zaraz. Aha przypominam sobie. Dyrektor policyi kazał



P. Harkiewlcz, naczelnik, Wrocław.

odpisać panu, że na zjazd pozwolenia nie udzieli.

Naczelnik: Jakto nie udzieli! Co on ma do udzielenia? Obowiązkiem naszym jest was zawiadomić a reszta nic nas nie obchodzi.

Urzędnik (słysząc zbliżające się kroki z drugiego pokoju) mówi: A, oto pan dyrektor sam idzie.

Naczelnik (do dyrektora policyi): Panie dyrektorze, ten pan mi mówi o jakimś zakazie zjazdu.

Dyrektor: A tak, zjazd Sokołów to rzecz niebezpieczna, bardzo, bardzo niebezpieczna. (*Z energią*): Mnie, panie, powierzył cesarz bezpieczeństwo tego okręgu i ja za bezpieczeństwo tego okręgu odpowiadam.

Naczelnik: No tak, ale cóż mnie cesarz i bezpieczeństwo?



Sztandar poznańskich „Sokołów."

Dyrektor: Panie, niech pan siada, proszę. Dlaczego nie mamy pomówić jak dobrzy znajomi? Poco panom ten zjazd?

Naczelnik: Proszę bardzo, aby dyrektor raczył załatwić kwestyę w formalny sposób.

Dyrektor (ze złością): Pozwolenia nie udzielę.

Naczelnik: Hola, panie dyrektorze, to tak łatwo się nie da zrobić, jak pan myśli. Myśmy nie dzieci, my wiemy, jakie prawa obywatelskie nam przysługują.

Dyrektor: Ah, tak (z ironią) z tego tonu pan zaczyna? Dobrze, pozwolenia na zjazd istotnie udzielić muszę, ale mam prawo zrobić zastrzeżenia.

Naczelnik (zimno): Proszę.

Dyrektor (dyktuje urzędnikowi): Pisz pan. Nie wolno Sokołom chodzić w mundurach i czapkach sokolskich. Nie wolno im urządzać pochodów przez miasto.

Urzędnik (pisząc): Możeby też i śpiewów zabronić?

Dyrektor: A naturalnie! nie wolno śpiewać i tańczyć, aby się nie zachwiała od tego w fundamentach niemiecka nasza Ojczyzna. Zapowiedzieć felczerom i fryzyerom, aby nie strzygli Sokołom po żołniersku włosów. Maszerować żołnierskim krokiem, choć w pojedynkę nie wolno, pod karą. Nie wolno groźnie patrzeć na przedstawicieli władzy. Nie wolno...

Urzędnik: Co nie wolno?

Dyrektor: Ba! żebym to wiedział! A, mam! nie wolno chodzić z laskami po ulicy.

Naczelnik (drwiąco): A w domu z laskami można chodzić?

Dyrektor: Nie kpinkuj pan z władzy! (Do urzędnika) pisz pan dalej: Nie wolno ćwiczeń zbiorowych wykonywać w obecności publiczności. Nie wolno... No cóż u djabła jeszcze nie wolno?!

Urzędnik (nieśmiało): Jeżeli wolno zwrócić uwagę pana dyrektora, to policya chciała paniom zabronić, aby były obecne na zebraniach Sokołów...

Dyrektor: Zabronić. Bezwarunkowo zabronić.

Naczelnik: Dlaczego?

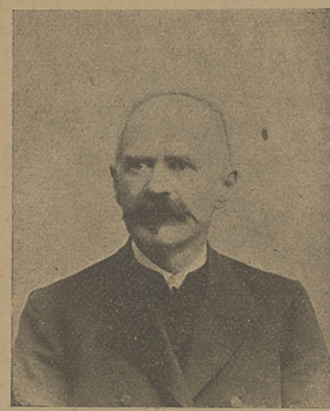
Dyrektor: Hm! Dlaczego? (po przerwie): Dlatego, dlatego, że... A zresztą nie potrzebuję się tłomaczyć. Jestem przedstawicielem władzy.

Naczelnik. Więc cóż nam wolno, jeśli łaska zapytać?

Dyrektor (ironicznie): Co wolno?... wszystko wolno, z wyjątkiem tych kilku drobnych rzeczy zakazanych.

Naczelnik (drżąc z oburzenia): Dobrze! ale wiedzcie panowie, że Sokoły więcej sobie powiedzą jednem uściśnieniem dłoni, niż w szeregu przemówień. (Wychodzi.)

Dyrektor (dogania go i ciągnie za połę): Panie, panie, wróć się pan. Dopisujemy, że i sprzeciwiajace się porząd-



Dr. Z. Celichowski, prezes, Kórnik.

kowi państwowemu uściśnienie dłoni i spojrzenia są zakazane. Dla pewności jednak to lepiej... — A, już poszedł (ociera sobie pot z czoła). No, ojczyzno niemiecka, możesz zasypiać spokojnie!

Urzędnik (pokornie): Proszę pana dyrektora, dlaczego właściwie kobietom nie wolno być obecnemi na ćwiczeniach?

Dyrektor (z tajemniczą miną): Bo to widzisz, mogliby być w przebraniu kobiecem... Sokoli z Galicyi lub z Czech. O, my jesteśmy zawsze czujni!

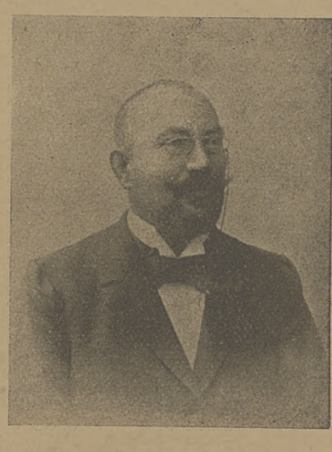
Głos z za okna: I zawsze niespokojni...

Urzędnik i dyrektor: Kto tam? (cisza) E, to nam się zdawało... *Rrr...*

Oddział kołowników „Sokoła" Poznańskiego

utworzonym został na wiosnę r. 1894 staraniem druhów Maksymiliana i Jana Zabłockich, Preissa, K. Rzepeckiego, Brzeskiego, Frąckowiaka, Paula i Wysockiego.

Czynnym udziałem na każdej wycieczce, oraz na ćwiczeniach kołowych, przyciągnęli druhowie ci w krótkim czasię blizko trzydziestu druhów do Oddzia-



Cz. Robiński, prezes, Krotoszyn.

łu. Jak ożywczo Oddział wpłynął na sport kolarski, który natenczas u nas jeszcze bardzo mało był rozwiniętym,

wynika z faktu, że zaraz w roku zawiązania zdołał wystąpić publicznie, urządzając *18. 8. 95. pierwsze wyścigi polskie na torze w Szelągu.*



Grossmann, prezes, Oborniki.

W roku zawiązania *1895* odbyły się prócz tego wyścigi szosowe *50 kilometrowe.*

Wycieczki w bliższe i dalsze okolice Księstwa odbywały się regularnie co niedzielę.

W roku 1896 wystąpił Oddział po raz pierwszy z popisami jazdy rejowej na zabawie „Sokoła", a także w pokaźnej liczbie na zlocie ogólnym w dniu 16. 8.

W tymże r. 1896 odbył Oddział kołowników dalekie wycieczki jak do *Wrocławia 400 kilom.*, a trzech druhów: Brzeski, Jagielski i Paul pospieszyli kołami na zlot do Krakowa *(1000 klm.).*

W jesieni zaś znaczna liczba członków wybrała się na wyścigi do *Kalisza*, w których kilku druhów z powodzeniem wzięło udział.

W roku *1897* prócz regularnych wycieczek i ćwiczeń w jeździe rejowej odbyły się wyścigi szosowe na dalsze przestrzenie, oraz wycieczka na wyścigi kaliskie.

Po ukończeniu sezonu jazdy odbywały się ćwiczenia na sali w jeździe



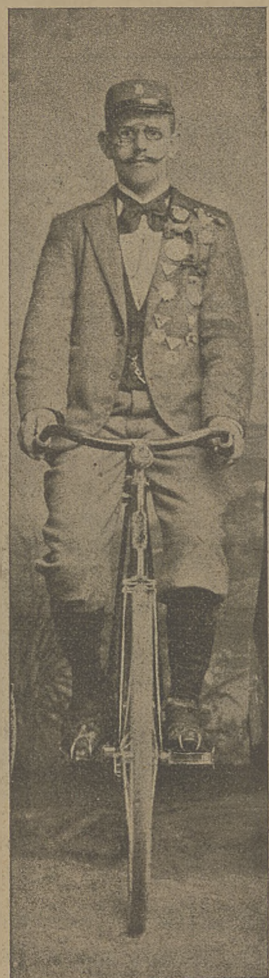
M. Schmak, prezes, Berlin.

popisowej, którą popisywali się członkowie na pierwszym występie towarzyskim t. j. na balu w karnawale r. *1898.*

Rok ten obfitował w dalsze wycieczki n. p. do Warszawy. Po dwuletniej przerwie odbyły się znowu *wyścigi na torze*, a *poraz pierwszy* odbyła się walka *o mistrzostwo „Sokoła"* w jeździe na kole. *Odznakę mistrza t. j. szarfę* zdobył druh, *Stanisław Brzeski.*

Pierwszy raz w Poznaniu wzięły także panie w biegu osobnym czynny udział.

W roku 1899 odbyła się w początku sezonu gremialna wycieczka do Kalisza, następnie zajęty był Oddział ćwiczeniami zbiorowemi jazdy rejowej, z którą wystąpił na zlocie okręgowym w Środzie. Razem ćwiczyło około 50 druhów i to z Poznania, Środy, Śremu, Kościana



Majchrowicz, artysta-kołownik, Oborniki.

i Gostynia. Oddział kołowników wydał własnym staraniem wzory i wskazówki do uprawiania jazdy rejowej.

We wyścigach na torze szelągowskim odegrała się znowu walka *o mistrzowstwo*, w której był zwycięzcą *druh Juljan Dybizbański.*

Odbyły się także wyścigi dla pań.

Czynność w roku następnym 1900, rozpoczęła się staraniem o utworzenie „Zjednoczenia Oddziałów kolarskich Sokolich" w Rzeszy Niemieckiej. Zjednoczenie to zostało na zjeździe delegatów Oddziałów Kolarskich zawiązane; do tegoż przystąpiły zaraz Oddziały Wągrowiecki, Średzki, Śremski, Pleszewski i Poznański; a zamierzają przystąpić Krotoszyn, Gostyń, Ostrów, Ostrzeszów. W połączeniu ze zjazdem delegatów odbył się



Karol Rzepecki, sekretarz, Poznań.

także bal Oddziału Poznańskiego z popisami jazdy rejowej i sztucznej.

Sezon jazdy rozpoczęty został wyścigami na szosie oraz jazdą rozstawną na przestrzeni 120 km. t. j. Poznań, Kórnik, Środa, Kostrzyn, Swarzędz, Poznań.

Na zlocie ogólnym wystąpiło Zjednoczenie Oddziałów Kolarskich Sokolich ze zbiorową jazdą rejową (46 kół). Oddziały Pleszewski i Poznański wykonały prócz tego jazdę popisową.

Na zakończenie druh Majchrowicz z Obornik, członek Oddziału Poznańskiego, oraz druh Heinricht z Kruświcy popisywali się jeszcze jazdą artystyczną.

Wyścigi doroczne na torze odbyły się 2 Września po raz pierwszy z ramienia Zjednoczonych Oddziałów kolarskich, Komitet tychże tworzą druhowie M. Zabłocki, Janta Połczyński, Bydgoszcz, S. Bendlewicz Pleszew, Samoliński, Tuszewski, Barczyński Śrem, Frąckowiak, Paul.

Do walki o mistrzowstwo stanęły pierwszorzędne wytrawne siły, mistrzem jazdy kołowej został druh Heinricht



Pokorzyński, prezes, Szamotuły.

z Kruświcy, zdobywając szarfę niebieską na r. 1900.

W. Frąckowiak,
przodownik
Oddziału kołowników Sokoła Pozn



Antoni Durski.

W roku 1875 dnia 1-go marca objął Antoni Durski w Sokole lwowskim stanowisko kierującego nauczyciela gimnastyki i naczelnika grona nauczycielskiego, będąc poprzednio w Sokole „Vorturnerem“, a bezpośrednio przed objęciem funkcyi naczelnika — nauczycielem gimnastyki w zakładzie gimnastycznym Edwarda Madejskiego.

Po odjeździe Franciszka Hochmana pozostał Sokół lwowski bez głównego fachowego kierownika. Dotychczasowy zastępca kierownika nie miał dostatecznych warunków do tej funkcyi. Grono nauczycielskie zaś, aczkolwiek wybornie wyćwiczone, i praktycznie i teoretycznie wykształcone w szkole czeskiej, składało się z samych studentów, młodzieńców od 17 do 19 lat, a więc również bez warunków na stanowisko samodzielne.

Był więc Sokół w kłopocie wielkim, tem bardziej, że na angażowanie kierownika z ustaloną reputacyą nie pozwalał stan finansowy Towarzystwa, który był tak opłakany, że kasa nie miała nawet tyle gotówki, iżby wypłacić pensye



K. Kubicki, prezes, Środa.

miesięczne funkcyonaryuszom swoim, a ś. p. Jan Dobrzański i ś. p. Richtman musieli nieraz na wydatki te zaliczać z własnych funduszów.

W takiej chwili krytycznej zgłasza Durski swoją kandydaturę — stawia Sokołowi warunki wielce przystępne, bo



Feliks Alkiewicz, Witkowo.

żąda płacy niższej, niż pobierał poprzednik jego, zapewnia, że obowiązkom podoła, że przyjmie metodę i system czeski, t. j. ten, jaki wprowadził Franciszek Hochman.

Propozycyę tę przyjmuje Wydział większością głosów, pomimo protestu jednostek, którym wiek kandydata wydawał się niedostatecznym, jak również nie wystarczała im gwarancya słowna zatrzymania kierunku, wprowadzonego przez Hochmana.



K. Zambrzycki, prezes, Miłosław.

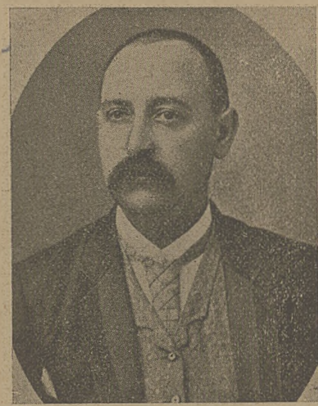
Przyznam się, że i my, ówcześni groniarze, wychowani w szkole wytrawnego gimnastyka Hochmana, z pewnem niedowierzaniem, a niejeden może nawet z ukrytym sarkazmem — patrzył na nowego naczelnika, który wiekiem nie odbiegał od nas, a system czeski i metodę dopiero zaczął studyować, gdy tymczasem Grono było już panem tego przedmiotu.

Czyn ten z jego strony był śmiały. Podejmował się trudnego zadania. Ale, jak mówi przysłowie: „Smiały zwycięża“,



Rutkowski, prezes, Kościan.

tak też i Durski niebawem zwyciężył wszystkich i wszystko, zjednał sobie symtyą Grona i Wydziału, poznał wkrótce system i metodę czesko-sokolą, którą jednak w programie ćwiczebnym zmienił niepotrzebnie na system niemiecki, gorszy od czeskiego.



Fr. Witecki, zastępca prezesa, Bydgoszcz.

Młody, 21 lat liczący naczelnik nie zabiera się do pracy bez planu. Wytycza sobie pięć kierunków działania:

a) postanawia podnieść frekwencyę młodzieży ćwiczącej się w Sokole;

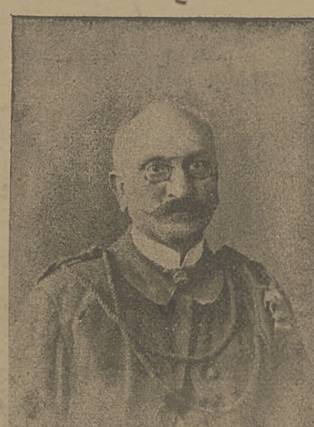
b) postanawia naukę gimnastyki uzupełnić: wycieczkami i grami.

c) postanawia stworzyć zastępy członków gimnastykujących się, których już pod koniec kierownictwa Hochmana wcale prawie nie było;

d) myśli o rozbudzeniu życia towarzyskiego w Sokole;

e) w końcu zabiera się do pióra, uzupełnia i naprawia słownictwo gimnastyczne, które w tłómaczeniach śp. Hochmana tchnęło nieco duchem języka czeskiego, i na tej podstawie w następnych latach pisze podręczniki fachowe.

Ażeby przeprowadzić dwie myśli pierwsze, organizuje Durski z młodzieży sokolej kadry wojskowe, przeprowadza jednolite umundurowanie, dzieli na drużyny i plutony, ustanawia wolny wybór kapitanów i poruczników. Za jego inicyatywą ubiera całe grono nauczycielskie i on sam strój szaraczkowy, kroju uczniów. Przy pomocy tego grona na-



Fr. Mąkowski, wiceprezes, Śrem.

uczycielskiego złożonego z samych młodych ludzi, chętnych do każdej pracy, poświęcających wszystek wolny czas, całe popołudnia i wieczory Sokołowi, nie zdających sobie nawet wówczas jeszcze sprawy z doniosłości swojej pracy i ofiarności czasu — rozpoczyna Durski

z młodzieżą w lecie r. 1875 popołudniowe wycieczki w różne strony miasta.

W szyku bojowym, w jednolitym stroju o czerwonych parolach, równym krokiem, przy odgłosie bębna, maszerowała młodzież przez miasto dziarsko i dumnie. Były to pierwsze korpusy szkolne w kraju naszym.



S. Weichmann, prezes, Nakło.

Lwowianie patrzyli na tę inowacyę wdzięcznem okiem; młodzież nie należąca do korpusu zazdrościła rówieśnikom swoim, zapalała się, wzrastała w niej ochota i przystępowała do Sokoła.

Wycieczki te powtarzały się dość często.

U kresu wycieczki zabawialiśmy młodzież grami, walkami i urządzaniem „wojny" — w której zazwyczaj Durski, z swoim oddziałem, pobijał nas wskutek osobistej siły fizycznej. Pamiętam do dziś epizod walki takiej, w której broniliśmy małe wzgórze w lesie Krzywczyckim obok „Weismanna." Odparliśmy już kilka szturmów zwycięsko, w końcu ruszył sam Durski do szturmu. Strach ogarnął szeregi nasze, wszystkie lepsze siły musieliśmy skoncentrować w miejsce, w którem on nacierał.

„Hura!" — rozległo się w powietrzu. Oddział nieprzyjacielski otacza wzgórze ze wszech stron. Durski uderza w stronę, gdzie największa stromość góry. Szybko zdwajamy obronę tego miejsca. Pierwsze szeregi odparto, ale tuż jest Durski. Dwudziestu rzuca się na niego, chwyta się ramion, tułowia, nóg, aby go nie dopuścić na wyżynę, chcą go ściągnąć w dół. Nic to jednak nie pomaga. Durski machnął ręką w lewo, prawo, strząsnął z siebie nieprzyjaciela, jak gruszki z drzewa — pnie się dalej w górę i zdobywa miejsce.

Tak wyglądał Durski, jako kierownik młodzieży sokolej.

Ale nie ograniczał on wpływu swojego jedynie na młodzież sokolą — nie, myślą sięgnął dalej.

W czasie tym istniał we Lwowie obok Sokoła prywatny zakład gimnastyczny Mag. Ed. Madeyskiego, który z Sokołem konkurował. Konkurencya ta odbijała się nawet na młodzieży i wytworzyła dwa obozy: Sokolików i Madejczyków. Durski postanowił młodzież obu zakładów pogodzić.

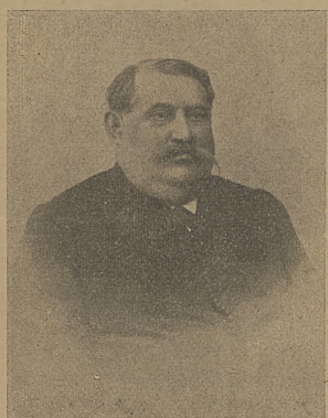
W tym celu za zgodą Gron nauczycielskich obu zakładów urządza wspólną wycieczkę, poczem z powrotem zgromadza młodzież wszystką w sali Sokoła i tu przemawia do nich od serca. Zagrzawszy do zgody i miłości, rozkazał uścisnąć sobie wzajemnie dłonie. W jednej chwili zawrzała burza okrzyków: „Wiwat Sokoły!" „Wiwat Madejczyki!" powstał nie pisany tumult. Sokoliki wpadli w szeregi Madejczyków, Madejczyki w szeregi Sokolików, ściskano i całowano się wzajemnie. Jedni drugich podnosili w górę, a ponad wszystkimi wysoko stał na barkach młodzieży Durski i Mazurkiewicz, naczelnicy obu zakładów.

Nastała odtąd harmonia między młodzieżą obu zakładów. robiono wspólne wycieczki, na których młodzież współzawodniczyła o lepsze w biegu, skoku i zabawach.

Z chwilą upadku zakładu Madejskiego w r. 1876 znaczna część młodzieży przenosi się do Sokoła, a od dnia przeprowadzenia się do nowego gmachu wzrastała stale liczba uczniów i uczennic.

Obok tego pierwszego zadania, postawił sobie Durski zadanie drugie: stworzyć zastępy członków czynnych, tj. gimnastykujących się.

Będąc jeszcze nauczycielem w zakładzie Madejskiego, zachęcił on kilku swoich kolegów szkolnych, jak dra Dzièdzielewicza Antoniego, Dzièdzielewicza Józefa, dra Łuczkiewicza Kazimierza, Sanockiego Władysława i śp. Włoszyńskiego Karola do uczęszczania na gimnastykę, którzy też pod jego kierunkiem ćwiczyli się w zakładzie Madejskiego. Skoro Durski objął naczelnikostwo w Sokole, przenieśli się za nim koledzy jego, i ci to właśnie, których nazwiska powyżej wymieniłem, stanowią pierwszy zastęp, pierwszy trwały fundament, dziś tak licznej w całym kraju kategoryi członków ćwiczących się.



Teofil Degórski, wiceprezes, Buk.

Od tego czasu kategorya członków czynnych już nie upadła więcej w Sokole lwowskim, przeciwnie wzrastała z każdym rokiem, wprawdzie w początkach nie szło to tak żwawo, jednak wzrost był stanowczy.

Gdym w jesieni r. 1877 nawrotnie objął w Sokole stanowisko nauczyciela gimnastyki, zastałem dokoła Durskiego zgromadzonych już 12 członków ćwiczących, a oprócz tego kilkunastu techników i akademików, między nimi Leona Krobickiego, ćwiczących się w osobnych godzinach.

Silniejszem tętnem żyć zaczął Sokół dopiero w sali Tyrego przy ulicy Kurkowej.

W tym okresie wstępuje do Sokoła wielu dzielnych ludzi, jak: Lang Justyn, Wallek Alojzy, ś. p. Weigle Adam, Smoliński Franc. i Maryan, Janikowski Wł. Targoński Paulin, Czarnik Kazim., Lewakowski Aleks. i inni, z których resztki jeszcze po dziś dzień w nim pracują i którym Sokół lwowski zawdzięcza trwały swój rozwój.

Durski stara się teraz rozbudzić życie towarzyskie wśród członków, inicyuje regularne wycieczki niedzielne w różne strony miasta, nawet w zimie, wprowadza nadprogramowe strzelanie do celu i obowiązkową szermierkę w zastępach.

Wycieczki letnie z czesem nabierają cel wycieczek z grami, gdyż wchodzi w użycie gra w piłkę polską.

Z wybudowaniem nowego gmachu liczba członków czynnych wzrasta niezmiernie szybko, tak, iż dochodzi w końcu do liczby kilkuset.

Z chwilą tą Durski stanął u celu!

Obok tej pracy w Towarzystwie nie zaniedbuje Durski pola piśmienniczego. Drukuje w „Przewodniku gimnastycznym" i w osobnych książkach: „Zarys systematyki ćwiczeń rzędowych i wolnych," „Ćwiczenia na poręczach," „Ćwiczenia na skoczni" itd. itd., czem daje początek nowej polskiej literaturze gimnastycznej.

Jednem słowem Durski objął wszystkie kierunki pracy sokolej, jednakże najbardziej charakteryzuje go praca w kierunku rozwoju ćwiczeń gimnastycznych wśród dorosłych. To też, porównywując go z ś. p. Hochmanem, można powiedzieć: Hochman dał Sokołowi polskiemu system i metodę; Durski ludzi czynu, tj. członków gimnastykujących się.

A chociaż w pracy rozwojowej Sokolstwa brało udział wielu, bardzo wielu ludzi, równie, jak Durski, szczerze oddanych sprawie, pełnych inicyatywy i poświęcenia, to jednak pierwsze myśli, pierwsze podwaliny, pierwsze głazy, na których później cały gmach urastał, zachowały najwięcej śladów, wyciśniętych dłonią Durskiego. Patrzyłem na pracę Jego od pierwszej niemal chwili, bo od roku 1869, mogę więc ogarnąć jej całość i ocenić lepiej, niż każdy inny, który pracę Jego zna z ostatnich tylko lat.

To też obowiązek nakazywał mi —



K. Stefański, naczelnik, Oborniki.

w chwili 25-letniego Jego naczelnikowania — oddać zasłudze świadectwo i pierwszy, jako najstarszy Jego towarzysz sokoli, zawołać:

Czołem przed Durskim!

Edmund Cenar.

Precz z marzeniami.

Precz z marzeniami, bo marzeń tkanina,
Którą ty w szale snujesz z twego łona,
Choć tęcz barwami po niebie się wspina,
Podobna raczej żądłu szkorpiona,
Co w serce własne szczepi jad trucizny —
Pracy, nie marzeń, trzeba dla Ojczyzny.

O bracie młody! z dziecięctwa powicia,
Jak motyl, siatkę gdy przerwie kokonu,
Skoro-ć się serce zacznie rwać do życia
I tęskno dzwonić strunami bardonu,
Niepewne, przeczuć trwożliwe tysiącem —
Nie śnij, lecz módl się uczuciem gorącem.

Gdy wzrok powiedziesz po nieba obszarach,
Brylantowemi dzierzganych gwiazdami,
Lub po tatrzańskich dzikich skał wiszarach,
Brzmiących bystremi Dunajca wodami —
Nie śnij, choć sercem dziwny urok włada;
Ale zrozumiej Boga, co z nich gada.

Jeślić na drodze ciernistej żywota
Dziewica-Anioł ślad rzewny zostawi,
Niechaj cię próżna nie dręczy tęsknota;
Bogu zleć boleść, która serce trawi —
A połączenie z nią ciebie nie minie,
Choć w innej może, piękniejszej krainie.

Myśl twa w przeszłości pogrążona falach,
Kiedy tryumfy, bole wieków chwyta,
Niechaj się w próżnych nie roztkliwia żalach,
Zemsty marzeniach; lecz niech się zapyta
Serca o radę — aż zrozumie chwilę,
I w trzeźwej pracy poczuje się w sile.

Bo rzeczywistość masz zdobyć za życia;
Bo rzeczywistym ten świat dotykalny
I Duch, co ludzkość wiedzie od powicia,
I duch, co w tobie żyje niewidzialny,
Który się kiedyś zbudzi i wyłoni,
Podobny kwiatów balsamicznych woni.



Stefan Marweg, prezes, Ostrzeszów.

A z twego serca oddal śmierci zmorę,
Ani się bój jej — ale oko w oko
Spojrzyj jej śmiało; śmiej się na przekorę,
Gdy paszczę trupią szczerzy ci szeroko —
Bo pod tą larwą świat nowy i życie,
A ty powłoki zląkłeś się, jak dziecię.

O spojrzyj, spojrzyj na ten ogrom Boży,
Na te miliony jasnych gwiazd na niebie —
Co tam form nowych, dźwięków, tęcz i zorzy!
A ile uczuć tam czeka na ciebie —
A za tem wszystkiem — Bóg... Wszechmiłość... Piękno,
Tyle strun nowych — a wszystkie odźwięknął...

Jednak te prawdy nie w sennem widziadle,
Fantastycznemi mgłami przyodziane,
Tworzyć masz w sercu, jak cienie w zwierciadle;
Ale nadzieją, wiarą niezachwiane
Ukochać, szczęściem tem naprzód niebiański;
A teraz działać tu — robotnik pański!

Bo i ta ziemia, walcząca, czyścowa,
Któż wie, na jakie przeznaczona cele?...
Azaż nie rzeknął — „Hierosolima nowa
Wypłynie z toni za czasów nie wiele?...“
Ogniem ją zmieni budowniczy biegły —
Ty, robotniku, tymczasem znoś cegły.

A gdyś tak serce twoje usposobił,
Nic cię na drodze twojej nie zatrzyma —
Z tortur się śmiejesz, boś w sobie wyrobił



A. Klajbór, prezes, Koronowo.

Niedościgłego męczarniom olbrzyma —
I chociaż cichy i pokorny w Panu,
Jako Archanioł dostoisz szatanu!

A choć twe ciało jako suknię zwleką,
Śmiej się; bo suknię tę brudną, zwalaną,
Kiedyś Anieli znów ci przyobleką,
Ale w niebieskich wodach życia praną —
Więc żyj, wierz, ufaj, kochaj niestrudzony,
Trzeźwy i czujny, jako duch wcielony.

Wincenty Stroka.

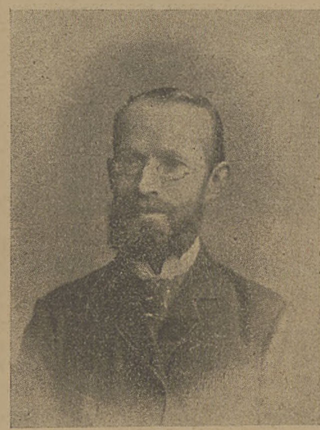
Epizod wojenny z r. 1831.

Opowiadanie oficera polskiego.

Wiem dobrze, że nie mam takiej zdolności pisarskiej, abym zdarzeniu, jakie chcę opisać, dodał więcej znaczenia, żywością pióra mego. Ale mam to przekonanie, że fakta historyczne powinny być podane do wiadomości wszystkich, w szczegółach jak najdrobniejszych. I dlatego zasiadam do pisania, aby jakkolwiek mniej zdolnem piórem podać do wiadomości ziomków moich, jedno z najważniejszych zdarzeń roku 1831.

Byłem tak szczęśliwy, że byłem naocznym tego zdarzenia świadkiem, a dziś całem uczuciem towarzyszę jego wspomnieniu z najwyższem żołnierza zadowoleniem i dumą.

Fakta pojedyńcze bitew najsławniejszych, przechodzą najczęściej. niedoczekawszy się szczegółowego opisu, chociaż



J. Marchlewski, prezes, Grudziądz.

często przeważają one szalę, i nietylko los bitwy, ale nawet los narodów rozstrzygają.

Tak pod Waterloo jedna pomyłka pułkownika artyleryi, Chandon, przyczyniła się najmocniej do zguby Napoleona; tak znowu jenialny pomysł pułkownika artyleryi Bema, uratował armię polską w bitwie pod Ostrołęką.

Takie fakta opowiadane z początku przez naocznych świadków, żyją w pamięci wszystkich cało, choć szczegółowo nieopisane w żadnej księdze. Lecz gdy pomału zabraknie świadków naocznych, rysy żywych opisów ustnych pełzną pomału, i w końcu zostaje tylko fakt nagi, ogólnikowemi rysami w dziejach zapisany.

A tych świadków naocznych zazwyczaj nie wielu, bo żołnierz czy walczy w szeregu, czy pułkiem nawet dowodzi, to tylko w czasie bitwy widzi, co tuż przed nim się dzieje. Dalsze szczegóły nikną w mgle dymu, co się zewsząd podnosi po nad plac boju; a nareszcie zajęcie umysłowe i fizyczne walczącego, skupia jego uwagę około jego najbliższych powinności, i odrywa od tego, co się o kroków sto od niego dzieje, choćby to było najważniejsze.

Ci zaś, co później opisują bitwy, zapatrują się na zdarzenia wojenne z wyższego stanowiska, trzymając się ogólnych rysów, podanych im przez sztabowe sprawozdania, nie zwracają nawet swej uwagi na drobniejsze, choćby najgorętsze i najciekawsze rozprawy wojenne.

Tak też nie zdarzyło mi się nigdzie zdybać z dokładnym opisem, owej sławnej szarży artyleryi, wykonanej pod Ostrołęką dnia 26-go maja 1831 r. A był to przecie ze wszystkich, jakie się pojawić mogły między naszymi dowódcami, najpotężniejszy pomysł, natchniony jeniuszem wojennym ówczesnego pułkownika Bema.

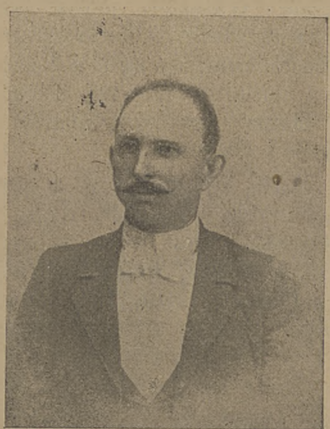
Gdyby nie ta szarża, armia Skrzyneckiego wystawioną była na niechybną zgubę.

Bitwa Ostrołęcka znana całemu światu w swych ogólnych zarysach, i w kartach dziejowych zapisana doniosność szarży rzeczonej.



St. Pogorzelski, prezes, Charlottenburg.

Ja zatem postanowiłem opisać szczegółowo ten właśnie najciekawszy epizod, jako świadek naoczny, jeden z nie wielu już świadków, bo codzień rozrzuceni po różnych stronach świata, wymierają żołnierze roku 1831. Dodam i to, że wogóle bardzo mało było na placu boju świadków, którzyby się tej szarży byli mogli z bliska przypatrzyć.



A. Noskowicz, zastępca prezesa, Pleszew.

Widziały ją 3ci pułk piechoty liniowej po lewej stronie, 6ty pułk piechoty po prawej stronie, i drugi pułk ułanów, opodal w tyle stojący. Lecz i z tych jakże mało mogło już patrzyć na szarżę odbytą po południu; wszakże jeszcze pierwej pułki te piechoty, wykonać musiały kilka ataków bohaterskich na bagnety, i to bardzo nieszczęśliwie, bo były źle użyte. Pułk zaś drugi ułanów, szarżując na moskiewską piechotę po grząskich błotach i kępinach, omal cały nie zaginął.



P. John, sekretarz, Bytom.

Można śmiało powiedzieć, jako z tych pułków tak nie wielka ilość na placu boju została, i z nich zaledwie 1000 do 1200 ludzi mogło widzieć na własne oczy ów fakt bojowy, który opisać zamyślam. A z tej szczupłej garstki ileż legło później od kuli moskiewskiej, ilu zginęło od knuta moskiewskiego i od Sybiru, a wieluż to zginęło czy na obcej czy na swojej ziemi?... Nie długo czekać, a zejdą ostatni widzowie, coby potomności opowiadać mogli ten fakt wielki.



W. Sroczyński, prezes, Wągrówiec.

Opowiedziawszy powody moje, przystępuję do samego opisu. Służyłem w 3cim pułku piechoty liniowej, należę zatem do nielicznych tego epizodu świadków. Mniemam zaś, że potrafię wiernie opisać, bo wówczas całe to zdarzenie przeżyte, utkwiło tak głęboko w pamięci młodego i pełnego zapału żołnierza, że dziś jeszcze wszystkie najdrobniejsze szczegóły żywo mi przed oczy stają; a taką pamiątkę że chowam z czcią religijną, czyliż nawet powtarzać potrzeba?

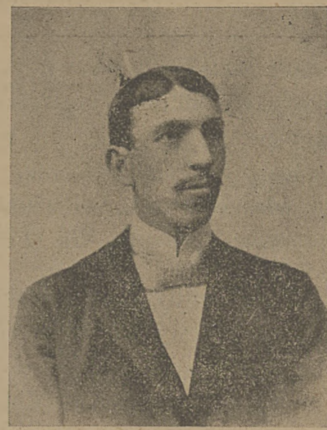
Było to około 4tej z południa, dnia



Wojciech Różański, prezes, Pakość.

26go maja 1831 roku. Staliśmy w kolumnach batalionowych, do ataku przygotowanych, ale przerzedzonych mocno, w pierwszej linii bojowej na naszem prawem skrzydle. Nasza linia frontowa stała frontem do rzeki Narwi rozciągnięta, w kierunku równoległym od rzeki i od głównego gościńca murowanego, do Warszawy prowadzącego.

Gościniec ten po przebyciu mostu łamie się w kąt prosty, i ciągnie się po nad rzeką. Środek naszej linii był wprost mostu; nasze ostateczne prawe skrzydło oparte było o rzekę Omulew, której koryto, dążąc prosto do Narwi, czyni z nią kąt prosty. Plac boju stanowiły piaski i błota tężne; z tyłu piasczyste wydmy i las, który nam plecy maskował.



A. Smielecki, zastępca prezesa, Gniezno.

Cała nasza linia bojowa, wystawiona była na okropny ogień dział moskiewskich, ustawionych za rzeką na wzgórzach, które je zasłaniały. Gościniec zaś, wysoka grobla w tem miejscu zasłaniała piechotę moskiewską, która już się była przeprawiła przez rzekę.

Owóż zadaniem naszego wojska było, nieprzyjaciela, który już przeszedł rzekę,



M. Żeleziński, sekretarz, Pleszew.

rzucić do niej nazad, co gdy się nie udało, trzeba było myśleć o zajęciu głównego gościnca, do Warszawy wiodącego.

Aby opanować ten główny gościniec, jak już z opisu miejscowości wypływa, armia polska potrzebowała przesunąć się flankowym marszem po przed całą linię bojową nieprzyjacielską, to jest po przed piechotę Dybicza już przeprawioną i uformowaną na prawym brzegu Narwi, i przed ogniem arteleryi, w tem miejscu nader licznej.

Położenie to było bardzo kłopotliwe, bo gdyby Moskale zdołali przełamać na-



J. Woziwodzki, Gostyń.

sze prawe skrzydło, zajęte przez dywizię 5-tą Kamienieckiego, złożoną z pułków 3-go, 6-go, 14-go, 20-go, piechoty liniowej, cała armia nasza miałaby odcięty odwrót od Warszawy.

Tak tego samego dnia, został odcięty korpus jenerała Giełguda, trzymający w wyprawie Tykocińskiej lewe skrzydło, bo przed natarciem Dybicza nie zdołał się połączyć z innemi oddziałami polskiemi.



S. Sroczyński, prezes, Trzemeszno.

Takie zatem było położenie nasze, koło czwartej popołudniu, gdy w kolumnach nieprzyjacielskich, naprzeciw naszego prawego skrzydła, spostrzedz można było ruch, który nas ostrzegał, że nieprzyjaciel zamierza uderzyć na nas całemi siłami, aby przełamać nasze prawe skrzydło. Pierwsza nasza linia z trudnością opór stawić mogła, a przyzwyczajeni patrzeć przed siebie, nie widzieliśmy nawet, azali jest za nami druga linia. To pewna, że jak się później pokazało, jeżeli była nawet druga linia, to bardzo słaba.

W tem przybiega oficer od sztabu z rozkazem, aby kto ma ładunki (ładunki prawie wszystkie wystrzelaliśmy; świeżych nam nie dowieziono, i niektórzy tylko z nas zaopatrzyli się w nowy zapas ładunków z ładownic poległych Moskali) wychodził na tyraliery.

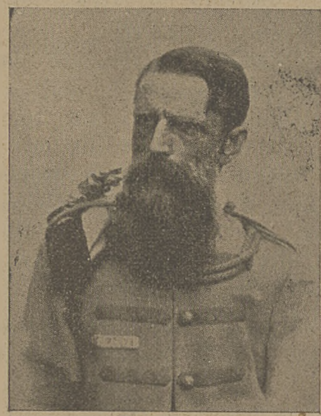
— Ochotnicy!... na tyraliery!... naprzód! — zagrzmiała komenderówka.



M. Pryliński, prezes, Chełmża.

W to graj naszym dzielnym wiarusom! Najstraszniejszy ogień działowy nie poruszył go z miejsca, ale zato każdy rwał się na bagnety!, Alež — niech mi tu wolno będzie powiedzieć — był to żołnierz aż miło!... Nigdy się nie miał za zwyciężonego, nigdy wiary nie tracił w siebie, choć najczęściej źle prowodzony, bezowocnie cudów waleczności dokazywał.

Taki sam duch ożywiał nas wszystkich pod Ostrołęką. Nie pomni na wkradającą się z góry dezorganizację,



J. Pietrzykowski, prezes, Bytom.

silni byliśmy tem wspomnieniem, że przed dwoma godzinami jeszcze walnie wytopiliśmy całe lewe skrzydło nieprzyjacielskie.

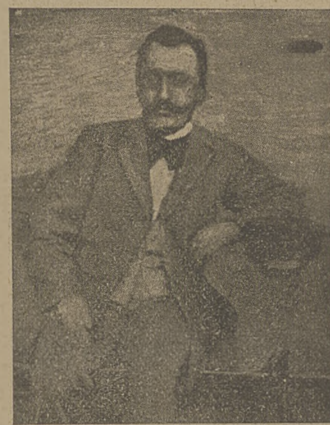
I tak było w rzeczy samej. Pozwolę sobie tu dodać ten nie długi epizodzik; darujcie to staremu żołnierzowi, który opowiada swoje najdroższe pamiątki.

Około godziny 1szej, w rzeczy samej brygada jenerała Krasickiego, złożona z 3go i 14go pułku piechoty liniowej, a właściwie sam pułk 3ci przypuścił świetny atak na bagnety. Byłem wówczas podoficerem, prawym przewodnikiem 3go batalionu. Pamiętam jakby to dziś było. Jenerał Krasicki stał około mnie o jakie dwa kroki.

— Brygada naprzód! — zakomenderował — batalion 3-ci, batalion dyrekcyi!... krok podwójny!... marsz! marsz!...

I cała brygada zadrgała jakby jedna dusza natchniona; jakby jedna władza poruszyła 4000 ludzi. Jakby jedna krew krążyła nam wszystkim w żyłach, ujęliśmy broń do ataku; bębny zagrzmiały i trzy bataliony trzeciego pułku nie wstrzymane ogniem rotowym ściśniętych kolumn moskiewskich, w bezprzykładnym porządku, przez ciągłe zemknięcie się na prawo zapełniając luki padłych od kul, dziarskim a poważnym zarazem marszem postępowaliśmy naprzód. I tym sposobem posuwając się, przyparliśmy masy nieprzyjacielskie przez gościniec, aż nad samą rzekę, koląc i tłukąc, co się nam pod ręką nawinęło.

Gdyby w owej szczęśliwej chwili, pułk 3ci był jako tako wsparty, ani noga moskiewska nie była by uszła z ich lewego skrzydła. Ale sam sobie zostawiony, w długiej pogoni wyszedł już nieco z porządku, bo żołnierze, gdy gonią uciekającego nieprzyjaciela, jeszcze prędzej szyk swój złamią niż w odwrocie.



S. Michałowski, prezes, Wąbrzeźno.



Dążą do Poznania sokolskie drużyny,
Ażeby się zmierzyć, zapoznać, zabawić
I z zapasów zabrać nagrody, wawrzyny,
Które by dzielność naszą mogły sławić!

Lecz gdy pamiątkę zlotu chcesz mieć trwałą
To spojrzyj na kartę, a powiesz: cudownie!
I przyznasz, że rzadko na kartę tak małą
Złożyć wspomnienia można tak gustownie.

Więc nie dziw, że odbyt mają niesłychany,
Tysiące też kart tych w świat daleki leci;
Wykonał je Cieśliński, fotograf nam znany,
W Poznaniu na Wilhelmowskim placu numer trzeci.

Nie było więc podobieństwem przełamać świeże kolumny, jakie zdybaliśmy nad samą rzeką. Pułk zwrócił się w nieładzie, i nie wszyscy w odwrocię się zatrzymać zdołali, i zebrać do ordynku.

Na dobrą sprawę, trzeci pułk poniósłszy w tym ataku od rotowego ognia i kul działowych i kartaczy ogromną stratę, powinien był w tem miejscu zginąć zupełnie, gdyby wśród najpomyślniejszego powodzenia zapędził się nad samą rzekę, i tam ze wszech stron przez najmniej dziesięć razy liczniejszego nieprzyjaciela obskoczonym został. I byłby zginął, bo już nie bagnet, ale kolba, ale pięść z pięścią się zdybały, gdyby nie pojedyńcze męztwo każdego żołnierza.

Tam to można by powiedzieć, że pułk nasz pozbył się wyjątków swoich, t. j. mniej walecznych, lub przynajmniej mniej silnych i zwrotnych żołnierzy. Kto się kowi. W tem to zetknięciu się, oddali nam Moskale chorągwie z napisem polskim i rosyjskim: „Za naszą i waszą wolność,“ które im daliśmy w ataku na olszynę Grochowską.

Uformował się wreszcie nasz pułk, okropnie przerzedzony pod strasznym ogniem działowym, i na tem samem miejscu dostał rozkaz. by swymi tyralierami asekurował szarżę artyleryi konnej. Choć zmęczeni i podziesiątkowani, nie traciliśmy nadziei, pewni, że gdy raz byliśmy zwycięzcami, i drugi i dziesiąty raz to samo potrafimy.

Obdzieliliśmy się w lot ładunkami, i ochoczo wybiegliśmy ze spuszczoną bronią w rozsypkę tyralierską i dalej naprzód z wesołym okrzykiem:

— Ojczyzna niech żyje!

W tej samej chwili, z zasłony lasowej wysunęła się na linię bojową, frontem już rozwiniętym w odstępach plutonowych baterya artyleryi konnej. Wyglądała jakoś niezwykle, z dziwnym przyrządem, bo każdy artylerzysta trzymał przed sobą na koniu coś. co z daleka zagadkowo wyglądało. Były to wiązki faszyny.

Dla lepszego zrozumienia rzeczy, pozwolicie szanowni czytelnicy. że wam opowiem, co to była ta nasza artylerya konna, i jakie były jej ruchy. Co do zewnętrznego wyglądania, odpowiedź bardzo łatwa.

Były to działa lekkie, jak każdej innej bateryi lekkiej, pieszej, z tą tylko różnicą, iż żołnierze obsługujący działa siedzieli na koniach, i to na dzielnych koniach. Każdy z nich był zaopatrzony w lont, wyścir, lub inny przybor stosowny do służby, jaką pełnił przy działach. Artylerzyści ci jechali trójkami przed działem, do którego należeli.

— Działo stój!... odprzodkuj!... — gdy wypadła komenda, pędem zajmowali stanowisko swoje za działem, osadziwszy konie na miejscu.

I w tej chwili środkowy z trójki żołnierz, chwytał za cugle pobocznych koni, i trzymał je nie zsiadając sam ze swego. Boczni żołnierze jednym skokiem już byli przy obu stronach swojego działa, i pełnili swe powinności.

Toż samo przy zmienianiu pozycji. Zaledwie przebrzmia a komenda, w nacieraniu czy w odwrocie:

— Na przodki!... zaprzodkuj!...

Już lawety do przodków były przypięte, lub wedle potrzeby ruszają z miejsca na przedłużeniach; artylerzyści siadają na niecierpliwe konie, i lecą za swemi działami, dopóki ich nowa nie wstrzyma komenda.

Podział zaś był następujący. Baterya liczyła dział 12. podzielona na 2 półbaterye; każda zaś półbaterya podzielona na trzydwudziałowe roty. W tej szarży pod Ostrołęką w rozwinięciu plutonowem od prawego, pierwszy i czwarty pluton stanowił zmianę pierwszą, drugi i piąty zmianę drugą, trzeci i szósty pluton zmianę trzecią.

Tyle co do składu zewnętrznego. Trudniejszą wszakże jest rzeczą, dać pojęcie o duchu, jaki ożywiał całą tę bateryę, i wogóle o duchu i zapale, który śmiało i bez próżnej chwalby powiedzieć mogę, każdego żołnierza czynił bohaterem. Bo każdy to pojmował, że jest nietylko żołnierzem, pełniącym swój obowiązek, ale prócz tego Polakiem walczącym za drogą matkę Ojczyznę.

(Dokończenie nastąpi.)



Wspomnienie z roku 1831.

sam nie umiał bronić, ten przynajmniej w niewolę się dostał.

W takim zamęcie, szarpaniu się za barki, bo w ciżbie broni nie użyć, przy ciągłem odbijaniu zabieranych w niewolę oficerów, ja sam. tą samą drogą przebijając się, ledwie widzieć mogłem. co się około mnie dzieje. Pamiętam tylko, jak porucznik Wolski i podoficer Krzenijewski, pierwszy pałaszem, drugi bagnetem rąbiąc i kołąc na wszystkie strony, otwierali drugim drogę przez natłok następujących. Widziałem także, jak woltyżer Rums, fechtmistrz konstantynowski, w pojedynku z ogromnym gwardzistą, także fechtmistrzem, wetknąwszy bagnet w lufę wielkoluda, pokąd z nim się borykał, aż opowiadający spostrzegłszy niebezpieczeństwo kolegi, odwrócił się i gwardzistę przebił bagnetem.

Takie pojedynki i odbijanie zajmowanych w niewolę, odbywane z szaloną odwagą, torowały odwrót trzeciemu puł-

CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Emigrant i wygnaniec.

— To też mnie właśnie do wściekłości doprowadza, że sobie powymyślał takie zręczne wykręty... — odpowiedział pan Bartłomiej. — Oszaleć przyjdzie na starość, rozum stracić, zwaryować! Cudza własność, święta rzecz, a ten bierze własność cudzą i powiada nie oddam, ani nic za nią nie dam, i takie przywodzi argumenta, że człowiek języka w gębie zapomina. Czy siak czy tak panie bratku, zawsze przecież krętacz z niego i łotr! Mimo wszystkiego co tam gada, gdyby chciał psa uderzyć, toby kij znalazł, gdyby chciał zapłacić toby znalazł sposób do zapłacenia, słusznie go więc nazwałem nikczemnikiem i podlcem.

— Tego nie przeczę, ale też tyle naszej satysfakcyi, więcej z nim pewno nie wskóramy.

Pan Bartłomiej westchnął, dalszą drogę odbywali milcząco i smutnie.

Przeszli prawie przez całe miasto i wydostali się za jego obręb, zmierzając ku Grossgartenowi.

We wspaniałym tym ogrodzie znajduje się, jak wiadomo, sześć jednakowej wielkości i według jednego planu zbudowanych domków w dość znacznej jeden od drugiego odległości. Domki te mają swoją historyę. Według opowiadań mieszkańców Drezna miał je zbudować August Mocny dla swych kochanek, gdy ich miewał po kilka naraz. Ogrodzenia i sztachety zabezpieczyć je miały od zbyt dotykalnych objawów zazdrości; co na spokojny charakter Niemek było jak się zdaje dostateczne, historya, jednak nie powiada czy wybrankom króla Sasa należącym do innej narodowości wystarczało takie odosobnienie od rywalek.

Obecnie w domkach takich zamieszkują ci, którzy z miasta daleko wyjeżdżać nie mogą, a pragną odosobnienia i spokoju. Każdy przybytek byłej metresy królewskiej stał się własnością jakiegoś spokojnego bürgera, który obok własnego lokalu urządza tam jeszcze kilka niewielkich mieszkań dla cudzoziemców.

W jednem z takich mieszkań mieszkał Stanisław z żoną, dzieckiem i rotmistrzem. Tam właśnie weszli ojciec Fulgencjusz z p. Bartłomiejem Zahajpolskim.

XIII.

Odepchnięty przez pana Bartłomieja od klamki, przy której zajmował dosyć dwuznaczne stanowisko, Fritz Hahn nie interwenjował zupełnie, to jest nie spełnił żadnej funkcyi lokajskiej przy odejściu gości, którzy opuszczali progi jego tytułowanego chlebodawcy. Pan Bartłomiej i ks. Fulgencjusz wyszli od hrabiego Artura zupełnie tak jak się wychodzi od zwyczajnego człowieka, który nie ma służby w liberyi.

Po ich odejściu w mieszkaniu pana Artura odbywały się dwa namysły.

W przedpokoju, stojąc na środku, namyślał się Fritz Hahn, w salonie, rzuciwszy się na szezląg namyślał się hrabia Artur.

Przedmioty ich namysłu, nie były jak się zdaje równie dla nich obu przyjemne. Fritz Hahn namyślając się uśmiechał się i ręce zacierał, hrabia Artur był zły i blady, wargi sobie prawie do krwi przygryzał.

Łatwo mu widać było powiedzieć, że nie przywiązuje wagi do słów szaleńca, ale trudniej przenieść te słowa.

— Kanalia! sankiulota!... — powtarzał od czasu do czasu, ze szczególnym naciskiem — zuchwalec!... i coby to było gdyby tacy zwyciężali!... socyalizm! komunizm! zagłada wszystkich pojęć prawnych! wytępienie wszystkiego co święte!...

Przyszło mu nagle coś na myśl i podniósł rękę do dzwonka, ale nim zadzwonił służącemu także coś na myśl przyjść musiało, bo otworzył drzwi i ukazał się na progu.

— Czy pan hrabia nie ma co do rozkazania — rzekł po niemiecku — i czy pan hrabia nie pozwoli mi wyjść?...

— Do rozkazania nic nie mam... idź... tylko pamiętaj, że jak ci dwaj jeszcze raz przyjdą, masz ich nie wpuszczać.

— Powiedzieć, że pana hrabiego nie ma w domu?...

— Nie... powiedzieć wyraźnie, że nie przyjmuję.

— A jakby się upierali?...

— W takim razie idź po policyę.

Fritz Hahn przez chwilę patrzył na pana Artura jakby się spodziewał dalszych jeszcze rozkazów, pan Artur patrzył na niego jakby czekał czy mu czegoś jeszcze nie powie.

Rzeczywiście oczekiwanie pana Artura nie było bezskuteczne.

— Panie hrabio — zaczął po chwili wahając się jeszcze czy ma powiedzieć to co myśli.

— Cóż?...

— Możeby lepiej było...

— Czegoż urywasz... mów... co byłoby lepiej?

— Iść tam zaraz...

— Gdzie?...

— A na policyę, panie hrabio.

— To już do mnie nie należy, zrób jak ci dogodniej, abym ich tylko więcej tu u siebie nie widział.

— Dobrze, panie hrabio, gdybym tylko mógł wiedzieć, jak się nazywa ten, który panu hrabiemu nawy...

— Który co?... — pochwycił pan Artur.

Fritz Hahn zmienił naprędce zamierzoną pierwotnie stylizacyę swych słów.

— Ten, który się ośmielił głos podnieść w obecności pana hrabiego.

— Ten zawadyaka... to Bartłomiej Zahajpolski.

— Zapiszę sobie.

Poszukał książeczki notatkowej i zapisał sobie imię i nazwisko pana Bartłomieja, jako na rodowitego Niemca dosyć poprawnie.

— A ten drugi... — zaczął pan Artur.

— To zbyteczne panie hrabio.

— Jakto? poznałeś go?

— To jest... panie hrabio — zająkał się Fritz Hahn — ja myślę, że ten drugi sprawiał się cicho...

— To wszystko jedno... i tego drugiego widzieć nie chcę... oto mi tylko idzie, o nic więcej.

— Stanie się według woli pana hrabiego.

Ukłonił się Fritz Hahn i wyszedł. Że droga jego prowadziła *hinter die Frauen-Kirche*, zbytecznem byłoby dodawać.

Jaką tam konferencyą miał z komisarzem emigrantów, tego powtórzyć nie możemy. Pan komisarz czuwający nad cudzoziemcami był człowiekiem dyskretnym i nigdyby się z tem przed nikim niebył wygadał, a Fritz Hahn także przed nikim, nawet przed swoim panem, nie zdawał sprawy jak się wywiązał z tego poruczenia.

— Trzeba być ostrożnym — myślał pan Artur po odejściu wiernego sługi, — tym szaleńcom nie wywietrzały jeszcze z głowy czasy swawoli, tajnych wyroków i sztyletów. Taki zawadyaka mógłby się targnąć na mnie na ulicy gdyby mnie spotkał... mógłby podburzyć całą czeredę emigracyjną tutaj bawiącą przeciwko mnie... mógłby... albo ja wiem coby mógł jeszcze?... Po człowieku, który przychodzi do kogoś zajmującego wyższe stanowisko i poważa się głos podnosić, a w wyrazach nie przebiera, wszystkiego obawiać się można.

Ta refleksya była zapewne powodem, że i tego i następnego dnia żadne oko śmiertelne nie widziało pana Artura na ulicach królewskiego stołecznego miasta Drezna.

Częściej zato widywać można było jego kamerdynera, który jednak od czasu wizyty pana Bartłomieja i kapucyna przyjął trochę odmienną od dawniejszej taktyki, i udając się za ów kościół na Neumarkcie, w okolicę którego tak często prowadziła jego droga, więcej się oglądał i bardziej czapkę na oczy nasuwał. I na odleglejszej nawet od tego gmachu ulicach zdarzyło się niekiedy, że gdy zobaczył naprzeciw siebie jakiegoś przechodnia, zwracał się nagle napowrót, albo też przypominał sobie, że ma pilny interes na przeciwną stronę ulicy.

Mimo to, że unikał widocznie niektórych osób, drogi jego dziwnem jakiemś nieszczęściem tam najczęściej prowadziły, gdzie właśnie te osoby mógł spotykać.

się do winy! Ocal niewinnego, ufaj Bogu i Jego dobroci. Ja nie mogę ci nic innego poradzić, nie znam sposobu wyjścia z tego okropnego położenia! Jeżeli się otwarcie przyznasz... ach, Eryku! Serce mi pęka na myśl o tem! Ale jeżeli wyznasz twoją winę, to przysięgam ci, że nigdy za mąż nie pójdę, nigdy do innego należeć nie będę. Jest to jedyna nagroda, jaką ci ofiarować mogę za złe, do którego cię two a szalona ambicya popchnęła. O mojem złamanem życiu nic już mówić nie chcę.

I wyciągnęła rękę, jak gdyby na pożegnanie chciała dotknąć spuszczonej jego głowy, ale zaraz potem cofnęła się ze wstrętem. Po chwili już jej w chacie nie było.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Niespodzianka.

Teraz opuścił Byrd swoje ukrycie i ostrożnie wszedł do chaty. Samotny mężczyna siedział zawsze jeszcze z pochyloną głową, ale słysząc szelest na progu, podniósłsię i...

Byrd krzyknął zdumiony. Ten, który tak zbliżał się do niego nie był Henrykiem Manselem!

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Policyanci.

— Ocho, więc jest nas dwóch — zawołał nieznajomy. — Domyśliłem się tego zaraz, gdy ujrzałem pana w Buffalo.

Byrd patrzał na niego, nie dowierzając własnym oczom. Wszakże cała postać jego tak łudząco była podobną do postaci Mansela, a jednak był to zupełnie ktoś inny...

Nieznajomy uśmiechnął się zadowolony.

— Widzę — rzekł — że pan mnie nie poznajesz.

— Ach! — zawołał Byrd — wiem już teraz! Pan jesteś tym, którego poznałem w hotelu pani Hart — nazywasz się Braun...

— Tak jest, Braun, właściwie jednak Hikory!

Byrd zadrżał z gniewu i oburzenia.

— Pan zaś — mówił Hikory dalej — jesteś zapewne tym, który miał mi pomódz w wyszukaniu mordercy pani Klimmer? Nie przypuszczałem tego, inaczej nie byłbym panu tak przeszkadzał. Chciałem się wprawdzie zająć sam tą sprawą i niejedno powiodło mi się też znakomicie, jak to pan mi przyznać musisz, jeżeli byłeś świadkiem mojej rozmowy z panną Dare.

Niegodne to postępowanie kolegi przejęło Byrda niewysłowionym wstrętem. Spojrzał pogardliwie na Hikorego i rzekł:

— Więc nie znalazłeś pan już innego sposobu przekonania się o winie Mansela? Musiałeś odegrać tę haniebną komedyą? Wyzyskałeś miłość dziewczyny, aby ją wprowadzić w zasadzkę, jest to może praktycznem, ale nie powiem, aby było szlachetnem!

Twarz przebiegłego policyanta pokryła się lekkim rumieńcem wstydu, co się pewnie rzadko zdarzało.

— Przecież ona nie potrzebuje nic o tem wiedzieć. — rzekł niechętnie. — Nie było to ładnie z mej strony, przyznaję, ale cóż miałem robić! I wszelkie wyrzuty nic teraz nie pomogą, co się stało, to się stało. W każdym razie wiemy teraz napewno, kto jest mordercą pani Klimmer.

Byrd uśmiechnął się szyderczo.

— Zdaje mi się, że pan już dawno wiesz o tem, — szepnął. — Wszakże uważałeś Hildreta za mordercę!

— Tak, tak, — przyznał Hikory dobrodusznie, — ale i najmędrszy może się omylić, gdy ściga zbrodniarza na ciemnych drogach. Na szczęście jednak zwrócono mnie na właściwy ślad. Pana także?

— Kto i kiedy zwrócił uwagę pana na Mansela?

Hikory założył ręce, oparł się o ścianę i milczał przez chwilę.

— No, — rzekł w końcu — muszę najpierw wiedzieć, czy pan chcesz pracować razem ze mną, czy też na własną rękę?

Byrd nie powziął dotąd jeszcze żadnego postanowienia, teraz jednak musiał się zdecydować. Niespokojny, zamyślony, biegał po izbie, co przez wzgląd na jego zupełnie przemokłe ubranie bardzo było stósownem.

— Sława, którą pan sobie zdobyłeś dzisiejszem swem postępowaniem, — rzekł z gorzkim uśmiechem, — należy panu niepodzielnie, ale jeżeli Mansel jest istotnie winnym, w takim razie jest moim obowiązkiem pomódz ci w zebraniu wszystkich przeciwko niemu dowodów!

— Dobrze! — zawołał Hikory, siadając na ławie, — zabierzmy się więc zaraz do dzieła! Przedewszystkiem powiedz mi pan, kto lub co naprowadziło cię na myśl podejrzenia Mansela o zbrodnią?

Byrd zawahał się na chwilę. Nie chciał wobec tego człowieka wymieniać Iwony, uważał to bowiem za zniewagę dla niej, dlatego też odrzekł wymijająco:

— Zdawało mi się, że Hildret jest niewinnym, a gdy zacząłem bliżej badać tę sprawę, postanowiłem śledzić siostrzeńca zamordowanej, jako jedynego, któremu śmierć jej przynosiła korzyści. I tak więc pojechałem do Buffalo.

— Mnie zaś, — zawołał Hikory, wstrząsając się, — zwróciła uwagę na niego, pewna okropna, stara kobieta. Istna jędza. Nazywa się Sally Perkins!

— Stara kobieta? — Cóż ona panu powiedziała?

— Zaraz, zaraz! Uważam, że miejsce, na którem się znajdujemy, nie bardzo jest przyjemne, a pan jesteś całkiem przemoknięty. Urządźmy się wygodniej!

Hikory zerwał się z ławy, zebrał kawały suchego drzewa, leżące w chacie i rozpalił ogień na kominie. Potem położył się jak długi na podłodze, wyjął z kieszeni buteleczkę z koniakiem, napił się, i podając ją Byrdowi, rzekł wesoło:

— No, idź pan za moim przykładem i opowiedz mi, jakim sposobem znalazłeś się tu dzisiaj?

Byrd, na którego ciepło ognia zaczęło prawdziwie dobroczynny wpływ wywierać, stał się teraz nieco rozmowniejszym i wypełnił natychmiast życzenie kolegi.

— Doszedłem do tego przekonania, — zaczął, — że morderca pani Klimmer nie uciekł drzwiami frontowemi, tylko podwórzowemi. Przed kilku dniami już znalazłem ścieżkę, wiodącą do tej chaty, dziś zaś przybyłem, aby zobaczyć, czy nie znajdę tutaj dowodów bytności mordercy. Że uciekał tędy przez las, i że wyjechał z Monteit, o tem wiem już napewno.

Hikory słuchał uważnie.

— Dowodu, że Eryk Mansel znajdował się w chacie, nie potrzeba długo szukać, — rzekł z uśmiechem. — Spojrzyj pan tylko na te gałązki w kącie, leżą one tak, jak je znalazłem,

— Ach! — zawołał Byrd zdumiony, — więc on musiał tu nocować! I gałęzie służyły mu za poduszkę, bo widzę na nich kilka jasnych włosów. Jaki nieostrożny! Powinien był położyć chociaż chustkę pod głowę.

— Widzę, że pan znasz swoje rzemiosło, — rozśmiał się Hikory. — Obejrzyj teraz stół, może i tam znajdziesz jeszcze więcej dowodów!

Byrd szukał długo i nareszcie znalazł maleńki kawałek drzewa. Był to wiórek zaciętego ołówka niebieskiego, na wiórku bowiem widać było odrobinkę farby.

— Takich wiórków jest tu kilka, rzekł Hikory, kamieniarze zaś i węglarze nie używają niebieskich ołówków. Oprócz tego.....

— Znalazłeś pan jeszcze coś? — przerwał Byrd niecierpliwie.

— Tak, kawałek gazety, Może to wydarte z Kuryera bufalskiego, kto wie? Trzeba się dowiedzieć. Są to wszystko drobnostki, ale mogą nam się przydać. Czego się pan właściwie dowiedziałeś w Buffalo?

— Nie wiele! Jakiś Braun zanadto mi przeszkadzał, tak w domu pani Hart, jak i w fabryce. Gdyby mi córeczka Godmana nie była opowiedziała, że Mansel pisał do jej ojca z Monteit, to nie byłbym się absolutnie niczego dowiedział. Był to prosty tylko przypadek.

— Nie wiedziałem wcale, że mi się to tak doskonale udało — rzekł Hikory, śmiejąc się głośno. Gdybym był przeczuł, kim pan jesteś, byłbym naturalnie inaczej postępował, ale ja pana wcale nie znałem. Pani Hart przeraziła się śmiertelnie, gdy jej powiedziałem, że jesteś detektiwem. Właścicielom fabryki dałem się poznać, kazałem sobie wszystko dokładnie wyjaśnić, prosiłem ich o dyskrecyą i przestrzegłem, aby nie przyjmowali tego innego człowieka, śledzącego Eryka Mansela. W domu Godmana jednak nie byłem ani razu, to też dziecko nie mogło być uprzedzonem, aby.....

— I jakiż jest rezultat bytności pana w Buffalo? — przerwał Byrd.

— O, dowiedziałem się tam rozmaitych rzeczy. Najpierw, że Mansel owego wtorku wyjechał, aby, jak mówił, rozmówić się z jakimś kapitalistą w Nowym Yorku o swoim

wynalazku, powtóre, że wcale w Nowym Yorku nie był, tylko, że następnego dnia wrócił niezmiernie smutny i przygnębiony, po trzecie, że najgorętszem jego życzeniem i jedynym celem życia jest wykonanie swego modelu. Wierzy on tak niezachwianie w ów wynalazek, że oddałby ostatnią kroplę krwi, aby przekonać świat o jego doskonałości. Ale na to potrzeba mu pieniędzy, a nie może znaleźć nikogo, kto by miał zaufanie do tej maszyny i pożyczył mu pięć tysięcy dolarów.

— Pięć tysięcy dolarów! — zawołał Byrd. Tyle właśnie wynosi majątek pani Klimmer. Dalej!

— Dalej dowiedziałem się jeszcze, że w środę, gdy był znowu we fabryce, przeczytał jeden z panów przypadkiem artykuł o morderstwie w Sibley, Mansel zbladł jak ściana i zmieszał się tak podpadająco, że koledzy jego zdumieli. Oświadczył im też zaraz, że głowa go boli i że musi iść do domu, przez następne dni chodził jak obłąkany i przedwczoraj dopiero przyszedł znowu do fabryki. Na wiadomość o śmierci ciotki powinien był przecież jechać do Sibley. tłumaczył się jednak tem, że ma febrę, że jest mocno zaziębionym. Owej środy wyjechał wprawdzie raz jeszcze, zaraz po tem, gdy się o morderstwie dowiedział, ale wieczorem był już w domu i leżał istotnie w łóżku, chory. Dalej....

— Jeszcze nie koniec?

— Nie, ale to, co teraz powiem, nie zyska pewnie uznania, ponieważ jesteś tak czułym i delikatnym.... Przejrzałem trochę rzeczy Mansela i znalazłem paczkę listów, pisanych ręką kobiecą — były to listy panny Iwony Dare, które pozwoliłem sobie przeczytać. I wydało się, że Mansel był potajemnie z nią zaręczony, że kocha ją szalenie, i że jedynem jego marzeniem jest zaślubić ją! Ale spełnienie tego życzenia zależy od powodzenia z jego wynalazkiem. Widzisz pan, że podróż moja do Buffalo nie była daremną. Zebrałem dosyć dużo materyału!

I Hikory spojrzał z tryumfem na kolegę.

— Co do panny Dare — zaczął znowu po chwili, to muszę panu jeszcze powiedzieć to, o czem mi owa jędza, Sally Perkins mówiła. Trzeba ci było widzieć tego złośliwego szatana, z jaką radością starała się szkodzić tej pięknej, dumnej dziewczynie. Powiadała mi więc, że gdy dniem przed morderstwem zbierała w lesie grzyby, zobaczyła pannę Dare w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, którego nie znała. Ciekawa, o czem rozmawiali, ukryła się w zaroślach i podsłuchiwała. Mężczyzna mówił z oburzeniem o skępstwie i uporze swej ciotki, a panna Dare, zamiast go ułagodzić, przywtarzała mu ciągle. W ciągu zawołał z uniesieniem: „To jest okropne! mogłaby mi przecież pożyczyć pieniądze, które chce mi zapisać. Osięgnąłbym mój cel, zarobiłbym ogromne sumy, oddałbym jej wszystko, i ty byłabyś także szczęśliwą. Możnaby oszaleć na myśl, że jestem tak blizkim sławy, majątku i szczęścia, a nikt nie chce mi pomódz. Ostatnia moja nadzieja znikła.“ „Gdybym znała panią Klimmer, odrzekła na to panna Dare, to poszłabym zaraz do niej i starałabym się zmienić jej zdanie.“ Wszystko to słyszała Sally Perkins ze swego ukrycia. Potem szeptali zakochani długo jeszcze, i dopiero ostatnie słowa doszły znowu jej uszu. „Weź go, mówił mężczyzna, dla mnie i tak straciło życie wszelki urok.“ „Nie, nie, zawołała panna Dare, nigdy tego nie uczynię! Moja przyszłość związana z twoją — będę z tobą walczyć, i albo zwyciężymy razem, albo zginiemy!“ Co teraz mężczyzna mówił, tego stara rozumieć nie mogła, ale musiało to być coś bardzo — ważnego, bo panna Dare zawołała przestraszona: „Nie rób tego! Zaczekaj chociaż do jutra! Ja nie mogę!“ Ja nie mogę!“ „Czemu do jutra?“ „Może się zmieni“..... „Więc dobrze. Jutro!“

Słowa jej sprawdziły się — mówił Hikory dalej. Ledwie minęło dwanaście godzin, a pani Klimmer była umierającą, i Mansel posiadał pięć tysięcy dolarów, które miały mu zapewnić majątek i zaślubienie tej, którą tak gorąco kochał.

Byrd słuchał z odwróconą głową, teraz wstał wolno, odetchnął głęboko i rzekł wzruszony:

— Więc pan sądzisz, że ta dziewczyna namówiła go do popełnienia zbrodni? Ja tego ani słuchać nie chcę, wiedz o tem raz na zawsze! Dlaczego jednak nie zgłosiła się owa Perkins ze swemi wiadomościami, gdy badano Hildreta?

— Pytałem jej też o to, ale powiedziała mi, że nie chce mieć nic do czynienia ani z coronerem, ani z sędziami przysięgłymi. Mnie też z początku dała tylko do zrozumienia, że zna tę sprawę — wsunęła mi list przez drzwi pokoju i byłaby uciekła, gdybym jej nie był dogonił. Musiałem się przekonać o prawdzie jej słów, dlatego urządziłem dziś całą tę komedyą!

— Nie jesteś pan jednak tak złym, jak przypuszczałem, rzekł Byrd. Nie rozumiem tylko, jakim sposobem wpadłeś pan na myśl przywołania panny Dare tudotąd właśnie.

— O, to nie było nic trudnego. Gdy przeglądałem w Buffalo papiery Mansela, znalazłem niedokończony list, w którym prosił pannę Dare o przybycie do tej chaty, gdzie się zwykle spotykali. List ten zabrałem, dopisałem tylko dzień i godzinę i posłałem go pannie Dare.

— Jesteś pan godnym uczniem wielkiego Gryce'a — przyznał Byrd zdumiony.

— Myślisz pan? — zawołał Hikory uradowany. Daj mi rękę, kolego, cóż to, nie chcesz mi jej podać? Ale jeżeli przyrzeknę. że milczeć będę o tem, co tu zaszło, jeżeli nawet inspektorowi nic nie powiem, no i cóż? Tajemnica ta zostanie pomiędzy nami, i panna Dare nie dowie się nigdy, że rozmawiała tu z kimś innym, a nie z narzeczonym.

— Przyrzekasz mi pan to rzeczywiście?

— Daję panu słowo! Zresztą mamy więcej, niż potrzeba dowodów, przeciwko temu biednemu człowiekowi. Raz jeszcze daję słowo, że zachowam milczenie!

Byrd podał mu rękę.

Deszcz przestał teraz padać i obydwaj wyszli z chaty. Gdy stanęli na drodze, spojrzał Byrd raz jeszcze uważnie na swego kolegę.

— Dziwna rzecz, — szepnął, jak pan jesteś podobnym do Mansela. Muszę się zawsze jeszcze namyślać, z kim właściwie rozmawiam. Nie pojmuję, jak można się tak zmienić!

— O, zawołał Hikory, śmiejąc się, — do tego mam rzeczywiście wielki talent! tym razem nie sprawiało mi to żadnych trudności, bo Mansel i ja jesteśmy zupełnie równego wzrostu. Może pan zauważyłeś to już w Buffalo. Włosy, cerę twarzy, ubranie, głos — wszystko to umiem naśladować bardzo dobrze, potrzebuję tylko studyować mój wzór przez pięć minut. Oprócz tego przyszła mi w pomoc dzisiejsza burza — w chacie było zupełnie prawie ciemno, tak, że każdy inny mógł był odgrywać z powodzeniem rolę Mansela.

— A gdyby panna Dare była pana poznała, to jest gdyby była poznała, że nie jesteś Manselem?

— Ufałem memu szczęściu i rozumowi, odrzekł Hikory zarozumiale, — i jedno i drugie oddało mi dotąd dobre usługi. A chociażby i poznała, to cóż? Taka dziewczyna jak ona nie mówi niepotrzebnych rzeczy.

Byrd nic na to nie odpowiedział. Myśli jego wyłącznie zajęte były nieszczęśliwą Iwoną, którą przebiegły Hikory tak niegodnie zmusił do oskarżenia ukochanego. Milcząc, wrócili obydwaj policyanci do miasta.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY.

Ferris.

Adwokat Ferris siedział zły i niezadowolony w swojem biurze. Oznajmiono mu tego dnia rano, że Hildret chciał sobie w nocy odebrać życie, i że teraz przeniesiono go, ciężko chorego, do szpitala.

I chociaż zamach ten na własne życie nie zmniejszał wcale winy uwięzionego, to Ferris czuł się jednak niezmiernie wzruszonym i zaniepokojonym. Nie mógł się oprzeć uczuciu serdecznej litości dla pożałowania godnego człowieka, którego rozpacz albo żal popchnęły do tego kroku i zaczął się mimowoli sam pytać, czy postąpiono słusznie, zamykając w więzieniu tego, który tak stanowczo twierdził, że jest niewinnym.

Śledzenie tej sprawy odbywało się dotąd zupełnie prawidłowo, jeden punkt tylko nie był jeszcze jasnym to jest, że papier, na którym wdowa spisała ciężkie oskarżenie Hildreta, był zżółkłym, atrament zaś bladym, tak, jak gdyby papier ten leżał już kilkanaście lat w biurku. Ale w takim razie musiał oskarżony być wówczas dzieckiem jeszcze, więc to, co pani Klimmer pisała, nie mogło się odnosić do niego, tylko do jego ojca.

Z tem wszystkiem nic to chwilowo nie zmieniało położenia rzeczy, syn odziedziczył widocznie lekkomyślność i gwałtowny charakter ojca.

I podczas kiedy Ferris zajmował się temi myślami, otworzono drzwi, i ku wielkiemu jego zdumieniu weszli Byrd i Hikory razem do pokoju.

— Przychodzimy, — rzekł Byrd, — aby pana uwiadomić, że dowiedzieliśmy się różnych rzeczy, które nie zostawiają żadnych już wątpliwości co do osoby mordercy pani Klimmer.

— Doprawdy! — zawołał Ferris. — Muszą to więc być bardzo ważne wiadomości, jeżeli panowie obydwaj...

— Tak jest, — przerwał Hikory. — Skoro pan się wszystkiego dowiesz, to przyznasz nam słuszność. Po mojej ostatniej tutaj bytności, otrzymałem dziwne wskazówki, tak, że zacząłem gdzieindziej szukać zbrodniarza. Spotkałem potem pana Byrda i pracujemy teraz wspólnie, a dowody, jakie zebraliśmy, świadczą wyraźnie, że mordercą nie jest Hildret!

— Więc kto, kto?.....

— Eryk Mansel, siostrzeniec pani Klimmer!

Ferris wysłuchał uważnie opowiadania obydwóch policyantów, i nie mógł ukryć wielkiego zmieszania i niepokoju. Dowody przeciwko Manselowi były tak wyraźne, że nie można się było wahać ani chwili z uwięzieniem go, ale fakt, że nazwisko Iwony zostanie wmieszanem w tę sprawę, oburzał i gniewał go niezmiernie. Wynikały z tego koniecznie wielkie trudności, które mianowicie przyjacielowi jego, Orkutowi dałyby się we znaki, bo wszakże Orkut kochał Iwonę, a stosunek jej z tym, który bez wątpienia był mordercą, zadawał ciężki cios szanowanemu ogólnie adwokatowi. Cóż zaś dopiero Iwona sama! Dumna ta dziewczyna miała się stać teraz celem pospolitej ciekawości i plotek, które jej dotąd nigdy dosięgnąć nie zdołały? Ferrisowi żal jej było z całego serca, więc też chciał się najpierw dokładnie namyślić, czy rzeczywiście obowiązkiem jego było uwięzić zaraz Mansela.

— Pomówimy o tem jutro, — rzekł dosyć niechętnie do policyantów.

Ale nazajutrz kazał ich znowu przywołać.

— Przypominasz pan sobie może, — że pani Klimmer wołała w ostatniej prawie chwili dwa tylko słowa, to jest: „ręka i pierścionek.“ Chciała pewnie dać tem do zrozumienia, że na podniesionej ręce mordercy ujrzała pierścień. Wychodząc z tego punktu widzenia, poszedłem wczoraj do jej mieszkania, stanąłem przed zegarem w jadalnym pokoju, tam, gdzie ją napadnięto, i kazałem memu sekretarzowi wziąść kawał drzewa w obie ręce, i zbliżyć się do mnie z tyłu. Gdy podniósł ręce, jak gdyby mnie chciał uderzyć, spostrzegłem, bez poruszenia głowy, pierścień, jaki nosi na małym palcu lewej ręki, i przekonałem się, że pierścień, o którym wdowa wspominała, jest ważnym dowodem przeciwko mordercy. Wiemy wszyscy, że Hildret miał owego dnia pierścień na palcu, i że go zdjął nawet, jak gdyby się obawiał, że na niego padnie podejrzenie. W dowodach przeciwko Manselowi natomiast nie ma mowy o pierścionku, a przyznajcie panowie sami, że to bardzo ważne.

— Zapomniałeś pan zapewne o brylantowym pierścionku, który podniosłem wówczas z dywanu, w jadalnym pokoju pani Klimmer, — szepnął Byrd niechętnie.

— Nie, ale panna Dare powiedziała, że to jej własność, i nikt nie ma prawa wątpienia o tem. Dowiedz mi pan, że Mansel nosił ten pierścionek na palcu w dniu, w którym odwiedził panią Klimmer, bo o jego bytności w jej domu też jeszcze na pewno nie wiemy. Jeżeli mi pan tego dowiedziesz, to powiem, że można Mansela podejrzywać o popełnienie zbrodni, inaczej jednak nie!

— Więc pan nie każesz go uwięzić? — zapytał Byrd.

— Nie uważam to wcale za potrzebne. Może życzył sobie on śmierci ciotki, aby tym sposobem otrzymać jej pieniądze, może nawet zamierzał ją zabić. Ale czy to uczynił? Mógł ją tak samo zamordować Hildret, któremu śmierć jej także była potrzebną do odebrania majątku. Zamach na własne życie zwiększa podejrzenie, ciążące na Hildrecie. Chwilowo zatem każę go dobrze pilnować, i odczekam wyroku sądu przysięgłych.

Byrd, który w głębi duszy nie wątpił ani na chwilę o winie Mansela, zdziwił się, usłyszawszy te słowa. Przedewszystkiem obawiał się, że wobec takiego zbiegu okoliczności zapomni Hikory o danem mu przyrzeczeniu i że opowie adwokatowi o komedyi, urządzonej wczoraj w leśnej chacie.

Teraz właśnie przyniesiono list jakiś, i podczas kiedy Ferris czytał go, mieli policyanci czas do zamienienia kilku słów z sobą.

— Co pan o tem sądzisz? — zapytał Byrd kolegę.

— Może Ferris ma słuszność — odrzekł Hikory. — Pytałem już w Buffalo, czy Mansel nosi pierścionki, ale powiedziano mi. że nikt jeszcze na palcu jego pierścienia nie widział.. Ten brylant zresztą byłby dla niego zbyt kosztownym. Widzę sam, że psuje nam to wszystkie szyki, i będę pewnie zmuszonym do zajęcia się znowu aktami Hildreta!

— Ależ to niemożliwe! Przypomnij pan sobie wczorajsze słowa panny Dare!

— Tak, że ona uważa go za winnego, o tem nie wątpię!

Byrd zdumiał. Więc Iwona mogła go podejrzywać o popełnienie zbrodni, podczas kiedy on był niewinnym? Dziwna rzecz, że coś podobnego wcale mu jeszcze na myśl nie przyszło!

— Ach! — wykrzyknął w tejże chwili Ferris — czy podobno!

Twarz jego wyrażała niezmierne zdziwienie i niepokój, spojrzał na policyantów, i znowu zaczął czytać list.

— Cóż takiego? — zapytał Byrd. — Nie wolno nam tego wiedzieć?

— Owszem, owszem, to właściwie do was należy. Jak się to dziwnie składa! Mówimy właśnie o potrzebnym dowodzie przeciwko Manselowi, i już go mamy. Czytajcie panowie!

I podał Byrdowi kartkę papieru, na którym niewprawną ręką następujące były wypisane słowa:

— Jeżeli pan Ferris chce być sprawiedliwym, i jeżeli chce znaleść winnego, to niech zapyta panny Iwony Dare, jakiem prawem przywłaszczyła sobie pierścionek, znaleziony w pokoju pani Klimmer.

— To zapewne dzieło Sally Perkins, — rzekł Hikory, wskazując na ową kartkę bez podpisu.

Ferris gniewnie zmarszczył czoło.

— Sądząc z pisma może, ale styl zdradza osobę więcej wykształconą. I zkądżeby stara Perkins miała wiedzieć o pierścionku?

— Więc kogo pan posądzasz o napisanie tego listu? — zapytał Byrd.

— To już pan powinieneś wyśledzić, — odrzekł adwokat.

Hikory pochwycił szybko kartkę.

— Czekaj pan — zawołał, — zdaje mi się....

I zbliżywszy się do okna, badał pismo długo i uważnie.

— Wiem już teraz — rzekł — kto to napisał.

— Kto?

— Panna Iwona Dare!

— Cóż znowu! Zkąd pan na tę myśl przychodzisz?

— Znam jej pismo! Zmieniła je wprawdzie bardzo zręcznie, ale pomimo to można je doskonale poznać. Przekonajcie się panowie!

I wyjąwszy z notesu zapisaną ćwiartkę, pokazał Ferrisowi podpis jej. Ani adwokat, ani Byrd nie wątpili teraz, że Hikory miał zupełną słuszność.

— Na coś podobnego nie byłem przygotowany — szepnął Ferris.

— My też nie — dodali policyanci.

— Co do mnie — rzekł Ferris — to rozmówię się najpierw z panną Dare, i potem dopiero uradzimy, co dalej uczynić należy.

Hikory i Byrd zgodzili się na to. Postępek Iwony zadziwił ich niezmiernie, pomimo, że zrozumieli go zupełnie. Iwona, dręczona wyrzutami sumienia, chciała tym sposobem zwrócić sama uwagę adwokata na rzeczywistego mordercę i ocalić niewinnego Hildreta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złote myśli.

Częściej prawy człowiek runie, niż zręczny intrygant; bo prawy człowiek ma nieprzyjaciół w złych, zaś oszust wszystkich przyciąga, wszystkim pochlebia, złym więcej niż dobrym, bo ich więcej potrzebuje, a popularność zyskuje pobłażaniem.

Kraszewski.

* * *

Zły wszędzie tylko złe widzi, a niewinność wymawia bez rumieńca wyraz dla zepsutych sromotny i popełnia czyn niewinny, który zdala zdaje się występnym.

Mickiewicz.

Widzenie carskie.

Z koroną na głowie car zasiadł przy stole,
Służalce ucztują przy carze —
Brzmią dworca komnaty i krążą wiwaty
W zbryzganym krwią polską puharze.

Wtem ręka nieznana, płomieńmi owiana
Na jasną wychyla się ścianę
I ogniem na murze, jak piorun na chmurze
Rysuje wyrazy nieznane.

Przelękły i blady car powstał z biesiady
I drżąc woła głosem rozpaczy:
„Niech z państw mych przestrzeni tu zjadą [uczeni
Odgadnąć, co napis ten znaczy!“

Na odgłos ukazu zjechali od razu
Uczeni, co w księgach czytają;
Lecz słaba ich sztuka, zamała nauka,
Tych liter, ni słów tych nie znają.

Aż pielgrzym ubogi w cesarskie wszedł progi,
Nieznany ni rodem, ni mianem —
Naukę swą głosi, o wejście się prosi
I chce być carowi drogmanem.

„Przed wiekiem,“ zawoła, Bóg zesłał Anioła
Na dwór Baltazara —
Dziś temiż wyrazy swe głosi rozkazy
I ten pisze wyrok na cara:

„Ludzkości tyranie! milionów wołanie
Przedarły już niebios podwoje,
Dość łez już wylałeś, dość już krwi wyssałeś,
Drżyj carze, — zliczone dni twoje!“

Car gniewem rozżarty, zawołał na warty,
Lecz próżno się pieni i woła; —
Służalce przelękli — przed innym przyklękli,
Bo pielgrzym się zmienił w anioła.

I widzów zdumienie — pod słońca promienie
Ptak boski ku niebu popłynął —
I płynąc w światłości chorągiew wolności
Z Pogonią i Orłem rozwinął! —

M. L.

Zemsta starca.

(Epizod z wojny francusko-niemieckiej.)

Piotr Martin, który walczył pod Jeną, a w r. 1870 ukończył lat 85, chciał się zaciągnąć do armii czynnej. Naturalnie odmówiono starcowi tej spóźnionej okazyi do aktu męztwa w walce, która tradycyjnie powinna być zwycięzką...

Weteran ze łzami w oczach poprzestać musiał na opowiadaniu ubiegłych dni, na zagrzewaniu młodzieży do odwagi, na wskazywaniu tych sztandarów, które poczucie honoru i miłość ojczyzny wyrywa z rąk nieprzyjaciela.

Ale los nie pozostawił długo starego żołnierza w roli opowiadacza.

Goniec z folwarku przyniósł mu wieść okrutną: awangarda ułanów pruskich, powiadomiona o tem, że na fermie jego syna znajduje się oddział wolnych strzelców, dała ognia i zastrzeliła kolonistę i jego rodzinę.

Syn jego zabity wraz z drogimi swymi! Biedny weteran, rozpaczając i bijąc głową o fosę, pod którą przysiadł, powtarzał ciągle te słowa:

— O, to niepodobna, niepodobna.

I jakby dla sprawdzenia tego niepodobieństwa udał się nocą do zarzewi posiadłości syna, ucałował ciało zabitego i złożył nad niem przysięgę zemsty.

Przez noc całą rozmyślał nad wykonaniem słowa żołnierskiego, danego w tak okropnej chwili.

— Los ukazał mi swą pięść bolesną; niech pozna moje mściwe dłonie!

Oddawszy ostatnią posługę tym biednym ofiarom wojny, Martin powrócił do siebie i pierwszym jego krokiem było dowiedzenie się, w jakim kierunku udali się okrutni ułani. Dowiedział się, że dziesięciu kawalerzystów, torując prawdopodobnie drogę całej brygadzie, zatrzymało się dla obserwacyi u brzegu lasu o 4 kilom. od miejsca, gdzie starzec snuł swe tragiczne rozmyślania.

Nie namyślając się długo, zuch Napoleoński poszedł drogą boczną. Rozrzucony włos siwy, oczy rzucające gromy nienawiści, harda postać idąca przed siebie z pewnością zwycięzcy, budziła we wszystkich, których spotykał, nietylko podziw, ale i uszanowanie.

Ten dziad sędziwy zdawał się być uosobieniem boga zemsty, przebranego w uniform nieubłaganego wojaka.

Nie zważając na śnieg i na mróz, nie znużony długą drogą, szedł śmiało przed siebie krokiem pewnym do celu, do którego dążył.

Naraz spostrzegło go dwóch Prusaków, którzy zastąpili mu drogę. Rychło nadszedł trzeci, podoficer, który nie wypuszczając z ust fajki, porcelanowej, zapytuje się głosem buńczucznym i aroganckim:

— Zkąd idziesz, starcze?

Krew zastygła w żyłach Piotra, ale rzemiosło wojenne przypomniało mu starą rutynę i zaleciło rozwagę. Starzec udawał naiwnego.

— Idę z wielkiej wsi u podnóża tej kotliny, którą ztąd widzicie.

A podoficer nie kończy badania:

— A dokąd idziesz o tej godzinie?

— Idę po za las do mych krewnych.

— Ale tędy przejście wzbronione!

Martin nie wychodzi z roli i pochylając głowę rzecze:

— Krewni moi czekają mnie niecierpliwie. Może ich spotkać śmierć z powodu mego opóźnienia.

— To mnie nic nie obchodzi! — krzyknął ułan. — Jeżeli chcesz ujść z życiem, musisz mi dać objaśnienie o ruchu waszych wojsk.

— Objaśnienie?... — zasyczał starzec, wlepiając wzrok w zdziwionego ułana. — Czy chcesz, abym w moim wieku został szpiegiem!

— Szpiegiem? no jak chcesz to nazwać, ale w każdym razie musisz mi powiedzieć, czy znajdują się w okolicy wolni strzelcy?

Starzec zamyślił się chwilę. Zda się, jakaś śmiała idea powstała w jego myśli.

— Zapytujecie mnie o wolnych strzelców? o tak, oni tam są.

— A ilu?

— Sześciu, czy siedmiu, nie więcej.

— A gdzież oni przebywają?

— Gdzież oni są! ależ gospodarują w mojej wsi.

Ze słów starca przebijała dziwna świadomość odwetu, a raczej jego planów, bo Prusak uczuwszy ten akcent radosny, przypuszczał, że Francuz zdradza chętnie obcych przybyszów.

— Czy to wolni strzelcy są z waszego kraju? — zapytuje go spokojnie.

— Nie, z po za gór.

Podoficer ucieszył się z odkrycia, mając nadzieję pochwycenia obcych awanturników na terytoryum wojsk stałych. Dał mu zresztą pułkownik prawo działania na własną rękę. W czasie wojny takie upoważnienia sięgają bardzo daleko, zwłaszcza, jeżeli ich wykonawcy dla niesłabnącego animuszu zasilają się ciągle — wódką.

— A zatem powiadasz, owi wolni strzelcy, nie są Francuzami, nie są więc wam życzliwi, a może mają na celu grabież waszego mienia?

— Jestem waszego zdania, panie podoficerze. Zachciało im się naszych królików, naszego wina. Ale niedoczekanie ich!

— Chciałbyś im zapewne wejść za skórę, nie prawda staruszku?

— Ależ naturalnie, to będzie dla mej gminy wielka usługa.

Niemiec nie wątpił zatem, że staruszek przyłoży swą doświadczoną dłoń do tej wyprawy.

— A czy dobrze się oni trzymają i bronią ci niegodziwi wolni strzelcy?

— Bronić się? oni? ależ to wierutni tchórze. Gdy kule świstają, myślą tylko o tem, aby ukryć swoje obrzydłe cielska.

— Możnaby też ich pochwycić?

— Ależ to się rozumie.

— Gdzież oni przebywają?

— Znaleźli sobie legowisko w szynku tam pośród wysepki.

Niemiec spojrzał na rzekę, oddzielającą wrogów od owej wysepki, mniemanego legowiska nieprzyjaciela.

— Dziś wieczorem mógłbym ich schwytać... Ale w jaki sposób przejść Sekwanę?

— To od pana zależy... Wszak pan wiesz jak się to robi.

— A czy możesz nam służyć za przewodnika?

Na to starzec prawie krzyknął:

— Ja! ja! to niemożliwe! Wszak wiecie, żem za stary.

Podoficer przerwał jego słowa:

— Starcze, jeżeli nam odmówisz pójścia z nami, to żołnierze moi dadzą ci plagi, a potem zamkną w więzieniu. Wybieraj! albo się nam służy, albo dostaje się od nas razy.

— Ależ, mój dobry panie, przecież...

— Wybieraj, powiadam!

— Panie podoficerze, proszę nie zadawaj mi gwałtu... Prowadzić was mogę tylko do wsi, bo tam wszyscy mnie znają.

— Przybędziemy późno tak, że cię nikt nie zobaczy. A wreszcie możesz powiedzieć, żeśmy ci przykładali pistolety do piersi, gdyś odmawiał.

— O panie podoficerze...

— Czyś zdecydowany?...

— Cóż mam czynić?...

— Jakżeż mamy przebyć wpław rzekę?

— Mam doskonały prom.

Niemiec zatarł ręce z radości.

— A zatem usunięta ostatnia przeszkoda. — Z temi słowy zawołał jednego z ułanów.

— Zaprowadzić tego człowieka do posterunku i mieć go na oku.

Martin został wprowadzony do środka lasku. W lepiance węglarza rozniecił

ogień, aby się zagrzać pośród ułanów, którym ogień zastępowały obfite zdroje sznapsa, wlewanego do ochrypłych gardzieli.

Na czole starca zdawała się rysować chmura okrutnych myśli. Był pewien tragizm w żywionych przezeń zamiarach, bo i oczy wyrażały jakieś niezłomne a twarde postanowienie. Chwile upływały zwolna i zdawały się starcowi godzinami.

Dopiero o 11-tej oficer zakomenderował swoją dziewiątką żołnierzy.

Na pół pijani dosiedli koni.

— Wiemy — rzecze Niemiec do chłopa, biorąc go za ramię — wiemy, że ryzykujemy naszą skórę. Wolni strzelcy albo się schronili, albo, wiedząc o naszej obecności, przyczaili się. Ty możesz nasz zdradzić.

Starzec przeczy z całej siły.

— Wszystkie twe słowa nic nie znaczą. Tyle razy już wyprowadzono nas w pole, że nakoniec możemy nikomu nie ufać. Przypuszczam, że nas prowadzisz dobrze, ale dla ostrożności, pójdę za tobą. Jeżeli zrobisz krok fałszywy, albo dasz znak jaki, rozstrzaskam ci łeb.

— Niema obawy — rzekł spokojnie weteran.

— A więc idźmy!

Na ten rozkaz mały ten oddział wyruszył w noc ciemną, noc grudniową, kędy droga miesza się z gruzem, a wszystko pokrywa gruba warstwa śniegu. Śnieg leży na drodze i zlodowaciałej rzece, granica jednej od drugiej niewidoczna. Martin postępuje naprzód torując drogę; kawalerzyści idą za nim, prowadząc konie za uzdy. Ile razy pod ich nogami łamał się lód na drodze, tylekroć szmer niezadowolenia przechodził wszystkich. Światła w domowiskach zagasły. Starzec odprowadził oddział do samego brzegu Sekwany. Polecił jednemu z ułanów pozostać na brzegu dla pilnowania koni. Wszyscy inni zaś weszli na prom, który przy pomocy dwóch ułanów poruszał się naprzód.

Serce w rozpaczonym starcu prawie bić przestało. Miał on nareszcie na odosobionym promie morderców swoich dzieci! Zemsta zagrała piekielną swą melodyą i popchnęła starca do gwałtownego czynu.

Już prom był w połowie drogi, gdy starzec wpycha podoficera w przyrębel. Jedno posunięcie poręczy i wykręcenie sznurka dało temu staremu wilkowi rzecznych przepraw możność wyrwania promu z drogi sznurowej i zatopienia go z całą załogą.

Ośmiu ułanów w oka mgnieniu znalazło się pod lodem, a dziewiąty wraz z Martinem uchwycił się bryły lodowej, która unosiła ich społem ku brzegowi.

Zaczęła się śmiertelna walka młodego uzbrojonego kawalerzysty ze starcem, który oprócz piekielnej zemsty w sercu i twardego doświadczenia w dłoniach, nie miał nic na swą obronę.

Doświadczenie przemogło; starzec zdołał schycić rewolwer wraz z pochwą, otwerzyć go i wycelować w samą głowę ułana.

. . . .

85-letnie kości nie wytrzymały lodowej kąpieli. Na odgłos wystrzału przybiegli wolni strzelcy i wyciągnęli z wody dogorywającego starca.

Nie mogąc złapać tchu, kazał giestem ułożyć się na brzegu i chrapiącym szeptem wykrztusił:

— Dzieci moje pomszczone!

Twarda dusza tego twardego weterana pomknęła do zamordowanego syna, synowej i wnuków....

Edward G.

Literatura mojej żony.

Rano, zaraz po podniesieniu się z łóżka, poszedłem do ściany, na której wisiał kalendarz, i zdarłem z niego kartkę z wczorajszą datą, jak to czyniłem codziennie. Był to dzień niezwykły w mojem życiu. Dzień trzynasty grudnia. Liczba ta odbita była dużemi czarnemi cyframi. U dołu zaś maleńkiemi literami było wymienione imię patronki tego dnia, świętej Łucyi.

To dzień imienin mojej żony. Czwarty już raz obchodzę ten dzień, opuszczony, samotny.

Stałem tak długą chwilę, wpatrzony w kartkę kalendarza. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Przynieśli kwiaty, wczoraj zamówione u ogrodnika. Ubrałem się spiesznie. W tej chwili zapytano mnie, czy można już podać kawę.

— Dziękuję wam, moja Pawłowo — odrzekłem — spieszy mi się, a przytem nie jestem wcale głodny. Ale, ale — dziś nie będę na obiedzie.

Pawłowa tym razem nie mruczała pod nosem, jak to robiła zawsze, ilekroć zapowiadałem moją niebytność na obiedzie. Była już dziesiąta godzina. Włożyłem na siebie jesienny paltot i poszedłem do biurka. Otworzyłem w niem skrytkę i wyjąłem z niej kilkanaście malutkich notesików, oprawnych w czarne ceratowe okładki. Była to „literatura mojej żony". Po chwili schodziłem już ze schodów z temi książeczkami w bocznej kieszeni paltota i z dwoma wieńcami świeżych kwiatów w ręku. Wsiadłem do dorożki i kazałem się zawieść na cmentarz. Przeszedłem wdłuż starego muru, z po za którego wyglądały drzewa smutne, ogołocone z liści, umarłe. Ale to nie jest śmierć wieczna. Na wiosnę obudzą się one, ożyją. To tylko ci leżący tam, pod ziemią nie obudzą się nigdy. Dla nich wszystko się już skończyło. Wszedłem na cmentarz pierwszą bramą. Ziemia, tak skąpo wydzielona każdemu z tych mieszkańców, pokryta była gdzieniegdzie płatami brudnego, topniącego śniegu. Maleńkie pagórki czworokątne, podłużne, usypane tuż jeden obok drugiego w rzędach pod linię, wyglądały ze śniegu, który je otaczał dokoła. Pokryte były nie umarłą jeszcze, ale bladą, chorą, konającą już roślinnością. Przeszedłem szeroką ulicę pomiędzy kamiennemi i żelaznemi pomnikami, minąłem olbrzymią, stokroć bardziej ponurą, niż sama śmierć, pieczarę i przestąpiłem drugą bramę wewnętrzną. Tu, na tym skromnym, czarnemi krzyżami ubranym kawałku ziemi był jej grób. Doszedłem do niskiego, walącego się parkanu z desek. Grób Łucyi był ostatnim w rzędzie.

Położyłem dwa wieńce na tej ziemi, wyrzuconej z głębi, ażeby zrobić tam miejsce kobiecie, którą kochałem, którą tak kocham ciągle...

. . . .

Uspokoiłem się.

Tuż po za parkanem wrzało życie. Na szeroko roztoczonem polu stały domy podmiejskie; po liniach krętych, przecinających te pola, toczyły się wozy, posuwali się ludzie. Tuż za parkanem cztery skrzydła wiatraka siekały powietrze. Regularny odgłos turkotu kół przelatywał przez parkan i zakłócał ciszę w tem mieście umarłych.

Usiadłem na drewnianej ławeczce pod parkanem o krok od grobu Łucyi i wyjąłem z kieszeni jedną z tych małych czarnych książeczek. Z głębokiem wzruszeniem zacząłem przewracać kartki, zapisane bladem pismem ołówka. Były to te zwyczajne książeczki, do których porządne gospodynie zapisują wszystkie drobne wydatki.

Oto tuzin szklanek, półmisek i parę rzeczy, w które zapomnieliśmy zaopatrzeć nasze gospodarstwo przed ślubem. Niżej herbata, cukier, chleb, znowu chleb, znowu cukier, mięso, masło i znowu chleb. I toż samo na kilku tych stroniczkach. Tak, nie były to zbyt rozkoszne te pierwsze miesiące naszego pożycia. Zadłużyłem się, ażeby urządzić jakotako gniazdko, a teraz trzeba spłacać dług i procent. Pierwszy miesiąca; połowę pensyi zapisano na dług. A potem znów chleb, herbata, cukier, mięso, chleb i znów chleb.

Wszystkie nasze wydatki były zapisywane w ścisłych kolumnach. Naprzeciw nich stały wązkie kolumny cyfr.

Chleb, chleb, chleb. Jakąż ogromną ilość chleba zjadaliśmy wówczas! Codzień figuruje ta rubryka.

Miałem wówczas sto marek pensyi, z której trzydzieści marek zabierali wierzyciele. Ale nie martwiliśmy się tem ani na chwilę. Łucya była tak oszczędną i tak gospodarną, że nie uczuwaliśmy braku.

Ale oto w książeczce zapisane nowe słowo: kartofle. A więc nadeszła głęboka jesień. Łucya nie kupowała kartofli, póki były drogie, jako nowalia. Pod kartoflami znów chleb. Pod nim sól. To krótkie słowo trafia się co trzecia lub czwarta stronica. Ale co to? wino!... tak, wyraźnie wino. Cóżto za uczta? Ach! To siedmnasty września, moje imieniny! A potem znowu chleb, cukier, chleb...

Acha! węgiel. To już nadeszła zima. Na drugiej kartce znów węgiel. Na trzeciej już niema węgla. Musiała nastąpić odwilż. Ale kilka kartek dalej znów węgiel. Słowo to jest na każdej stronicy. A nawet jest ono ostatniem słowem pierwszej małej książeczki.

Wziąłem drugą książeczkę do ręki. Zaczyna się ona wyrazem chleb, a potem następuje węgiel. I znowu te małe wydatki, przerywane kiedy niekiedy olbrzymią sumą trzydziestu marek, naprzeciw której figurowało objaśnienie, komorne za miesiąc...

Tu znowu coś niezwykłego; śmietany kwaterka, grzybów pół funta — co to? Dzień dwudziesty czwarty grudnia — wigilia. Jest nawet *menu;* jedliśmy grzybową zupę, potem śledzie smażone, kapustę z grzybami, kluski z makiem i kompot z suszonych śliwek. Pamiętam tę

pierwszą wigilię — byliśmy wtedy tak weseli, tak szczęśliwi! W pierwsze święto Bożego Narodzenia jedliśmy zająca z kompotem. Następne kartki długi czas nie pokazują nic nowego. Życie nasze toczyło się zwykłym powszednim trybem. Szkło do lampy. Zapewne pękło przy mojej pracy w nocy, z mojej winy. Zapomniałem zmniejszyć płomień. A! znowu uczta — wino, bakalie i ciasta. To dzień szósty kwietnia, rocznica naszego ślubu. Parę kartek dalej, figuruje jakaś niezwykła notatka. Brzmi ona: „Dnia drugiego maja ostatnia rata długu. Zapłacono wszystkiego trzysta marek.

Jakiż to radosny dzień był dla nas! Od tej chwili książeczka staje się jakby weselszą. O węglu już nie ma mowy. Chleb powtarza się znacznie rzadziej. Zato wchodzą do książeczki bułki. Co cztery kartki powtarza się masło, a rzadziej trochę kawa. Tu oto pod kawą spotykam nowy wyraz: lecznica. Pod niem: lekarstwo.

Zapadłem wówczas na oczy. Przyczyną tego było nizkie mieszkanie. Siedząc długo w noc nad pracą przy lampie, zużywa się wiele nafty, która, jako dym, rozchodzi się po pokoju. Mała stancyjka bardzo prędko napełnia się dymem, który gryzie oczy i sprowadza na nie zapalenie. Dalej zapisany jest zadatek na komorne. Byłem wtedy już zdrów; jak widzę z obliczenia pomiędzy słowem lecznica a zadatek, chorowałem przez dwa tygodnie. Poczem zaraz zmieniliśmy mieszkanie. Nowy pokoik był obszerniejszym i wyższym od dawnego i płaciliśmy za niego, jak tu widać, miesięcznie 18 marek.

Trzecia i czwarta książeczka nie różnią się znacznie od drugiej. Ten sam chleb, cukier, bułki, kawa...

Kiedyniekiedy, ale w bardzo rzadkich odstępach, figuruje wydatek na obuwie lub na ubranie. Piąta książeczka zaczyna się radosną nowiną: „Dziś podwyższono pensyę mojemu mężowi". Tak, dostałem awans i dwadzieścia marek podwyżki. Ale w książeczce nic się nie zmieniło; zaledwie z trudnością da się odszukać ślad dwóch biletów na drugie piętro do teatru lub dorożki, którą w święto wyjechaliśmy za bramy miejskie. A zresztą — ciągle to samo.

Łucya nie chciała nic zmienić w trybie naszego życia. Odrzucała projekty moje co do przyjęcia służącej lub powiększenia mieszkania. Gdy nieraz nalegałem na to, wydobywała z głębi komody pugilares i uśmiechając się, pokazywała mi kilka zaoszczędzonych dwudziestomarkówek. „Widzisz — mawiała w takim razie — nie mielibyśmy nic na czarną godzinę. Dlaczego mam brać służącą, kiedy jestem zupełnie zdrową, a przytem praca mi służy?"

Dnia siódmego grudnia zapisano w książeczce: zimowy paltot męża 60 marek. Oto i pochłonięte dotychczasowe oszczędności mojej żony.

Ale oto ostatnia książeczka, niedokończona w zupełności. Pozostały w niej jeszcze trzy puste, niezapisane kartki. Na pierwszej zaraz stronie trzy razy zamieszczono wizytę doktora. Łucya zachorowała, a ja byłem w rozpaczy, nie mogąc pozostawać dnie całe przy jej łóżku na jej usługach. Musiałem odsiedzieć codziennie swoje ośm godzin pracy biurowej, a wracając do domu, przynosiłem jeszcze z sobą całą plikę papierów do odrobienia. Byłem przeciążony pracą. W biurze wtedy zapanował chaos. Wykryto różne brudne malwersacye. Naczelnik wydziału podał się do dymisyi. Buchalter i jego pomocnik byli zawieszeni w służbie. Pracowałem za nich wszystkich, nie przestając pracować za siebie.

Wtedy to zgodziłem służącą, dzisiejszą Pawłową, którą postanowiłem zatrzymać i wtedy gdy Łucya wyzdrowieje. Obiecywałem sobie nie ustąpić pod tym względem i oprzeć się wszelkim protestacyom Łucyi. Kto wie, czy ta jej choroba nie jest skutkiem przeciążenia w pracy.

Pomimo choroby, Łucya nie przestała zajmować się gospodarstwem i zapisywać wydatków w książeczce. Jakże smutnie wygląda to wino, kupione wskutek polecenia doktora! A ile razy na każdej stronniczce zapisane jest lekarstwo? Choroba Łucyi przedłużała się. Trwała już miesiąc. Ja sam czułem, że upadam prawie ze znużenia. Noc przepędzałem w fotelu nie rozbierając się. Zrywałem się na każde głośniejsze odetchnięcie Łucyi. A w dzień ta praca, wyczerpująca resztki moich sił, praca, którą powinno odrabiać czterech ludzi!

Pewnego dnia jednak skończyło się to wszystko! Zostałem wynagrodzony. Prezes przywołał mnie do swego pokoju i osobiście doręczył mi nominacyę na buchaltera zarządu. Trzy tysiące marek pensyi! Byłoto szczęście, którego spodziewałem się za lat dziesięć! Uszczęśliwiony, pobiegłem do łóżka mojej chorej żony. O! teraz skończy się nasza bieda, myślałem. Nie pozwolę ci się tknąć żadnej pracy. Będziesz miała służącego i kucharkę. Będziemy żyli szczęśliwi, bez troski. Wynagrodzę ci te lata pracy i biedy.

Łucya odrazu poznała zmianę we mnie.

Powiedziałem jej wszystko z taką wiarą w przyszłość, że zdawało mi się, iż ona lepiej podziała na jej organizm, aniżeli te aptekarskie flaszki, ustawione na stole. Uśmiechnęła się z radością, jak gdyby ziściły się jej marzenia... i tejże nocy... umarła.

. . . .

Nie podzieliła ze mną tego życia, które obiecywało spokój i szczęście. Osłodziwszy mi lata ciężkiej pracy i walki o chleb, przeprowadziła mnie do tego progu lepszego bytu i cofnęła się.

Nie doczekała się!

. . . .

Nadszedł wieczór. Słońce już zaszło, nie pokazawszy się od rana ani razu. Krótko trwa dzień grudniowy. Zebrałem książeczki mojej żony, schowałem je i powolnym krokiem oddaliłem się od tego miejsca wiecznego spoczynku. Za bramami słyszałem turkot dorożek, i gwar mowy ludzkiej.

Wstępowałem w to ognisko gorączkowego ruchu z niechęcią, jak gdyby ciągniony przez konieczność przeżycia tego, co mi przeznaczono. Ziemia nie ma dla mnie żadnego uroku, odkąd ona tam — pod ziemią.

Wincenty Kosakiewicz.

Dwie dusze.

Gdzie Boży Swięci, jak gwiazdy świecą,
Ze dwojej strony dwie dusze lecą:
Pierwsza okryta płachtą ponura,
Po tamtym świecie leci jak chmura.
A druga biała okryta biało,
Jakby się słonko chmurką odziało...
Kiedy się zbiegły dwie nieboszczyce,
Spojrzały sobie w umarłe lice.

— To ty Barbaro? — To ty Maryo?
I swoje długie duchny rozwiją.
— Jaka ty czarna! Powiedz, siostrzyczko,
Coś poczerniało rumiane liczko?
Tyś była taka biała, jak ściana,
A czasem jakby róża różana. —
Czy ciebie w jakiem zielu kąpano?
Czy tobie złego ziela zadano?....

— Ej nie to, nie to: od liści ziela
Człek ni się czerni, ni się wybiela;
Ja nieraz matce hardo odrzekła,
Że aż niebodze i łza pociekła,
I takć krótkiemi powiem słowami:
Cała ludzkiemi zmyłam się łzami,
A łzy, co na mnie spadały marną,
Taką mnie o to zrobiły czarną...
— Lecz ty mi powiedz, siostro bez grzechu,
Na jakim ty się bieliła blichu?
Pamiętam ciebie, jak żęłaś zboże.
Popychadełko, czarne nieboże,
Miłosiernemi patrzy oczyma,
A dzbanek z wodą ledwie utrzyma;
Kto spojrzy na cię, to się odwróci,
A kto wesoły, to się zasmuci.
I w jakim się ty zdroju kąpała,
Żeś wybielała i wypiękniała?
Czy na tym stawie, na tem jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzą,
I od niedzieli tak do niedzieli,
Szerokie skrzydła płócze i bieli?
Czy w ciemnym lesie, kędy z pod drzewa
Zdrój się tajemny cicho wylewa?...

A owa rzecze głosem pokornym,
Jakby dalekiem echem klasztornym,
Kiedy pod koniec cichego dzionka,
Siostry się zejdą za głosem dzwonka:

— Jam się nie myła w jasnem jeziorze,
Gdzie łabędź pływa pod złotą zorzę;
Ani w tem źródle, co w lasów cieni
Z pod drzew wiekowych leci zieleni
I niezabudek odwilża oczy,
I skierki moczy, sasanki moczy;
Otoć krótkiemi powiem słowami:
Ja się własnemi obmyłam łzami!...

To rzekłszy, w płachtę zwinie się białą,
I leci w stronę, gdzie powidniało!
A czarna dusza łzy ludzkiemi zmyta,
Poszła gdzie ciemność, gdzie radość nie świta...

Teofil Lenartowicz.

Wiadomości.

Kursa rysunkowe dla młodzieży rzemieślniczej, urządzone przez tutejsze Towarzystwo Przemysłowe (Stary Przemysł), rozpoczęły się w zeszły wtorek (4 września) i odbywać się będą pod przewodnictwem jednego z tutejszych architektów w każdy wtorek i piątek wieczorem od godziny 8 do 10 w lokalu przy ulicy Szkolnej pod nr. 6, na drugiem piętrze.

Przez wzgląd na to, że pomyślność wielu działów rzemiosła zawisła w znacznej mierze od biegłości w rysunkach, zachęcamy gorąco do korzystania z powyższych kursów. Wiadomość o nich należy szerzyć po warsztatach i na zebraniach Towarzystw.

Kursa korespondencyi i rachunkowości dla terminatorów i młodych czeladników odbywają się w poniedziałki i czwartki od godziny 8 do 10 wieczorem również przy ulicy Szkolnej pod nr. 6.

Zachęcajmy młodzież do korzystania z tej nauki.

Na kursa rysunkowe, urządzone przez tutejsze Towarzystwo Przemysłowe, w których poszczególne zawody przemysłowe, jak stolarstwo, ślusarstwo, rzeźbiarstwo, ciesielstwo, mularstwo i inne należytego doznają uwzględnienia, zgłaszać się może dalej jeszcze młodzież rzemieślnicza. Nauka odbywa się co wtorek i piątek od 8 do 10 wieczorem w lokalu przy Szkolnej ulicy nr. 6 na II piętrze i jest bezpłatną.

Pocieszającym jest objawem, że przeświadczenie o potrzebie tej nauki coraz więcej się między naszą czeladzią rzemieślniczą szerzy.

Renomowana i zaszczytnie znana w kraju i zagranicą fabryka H. Cegielskiego (Towarzystwo akcyjne) w Poznaniu poleca w odnośnym inseracie rozmaite narzędzia rólniczogospodarcze najnowszej konstrukcyi. Członkowie Towarzystw rolniczych otrzymają przy zakupnie wysoki rabat, na co zwracamy baczną uwagę panom rolnikom, mianowicie członkom Kółek rolniczych włościańskich.

Fortepiany Schiedmayera, cesarsko król. dostawcy nadwornego w Sztuttgarcie, odznaczone zostały na tegorocznej wystawie wszechświatowej w Paryżu najwyższą nagrodą „grand prix.“ — Wyłączny skład skrzydeł, pianin i harmoniów fabryki powyższej na Poznań i całe Księstwo ma rodak nasz p. A. Drygas, ul. Rycersku 33 (patrz ogłoszenie.)

Stolarnia p. P. Rejminiaka w Poznaniu, ulica Bramkowa nr. 11. wykonuje wszelkie roboty stolarskie budowlane, meblowe, biurowe, handlowe itd, (Patrz inserat stale zamieszczany.) Przedsiębiorstwo to naszego rodaka polecamy względom Czytelników miasta i prowincyi.

Daleko i szeroko jest podziwiana fabryka cygar i papierosów naszego rodaka, p. P. Pokory w Wejherowie (Neustadt-Westpr.), należąca do pierwszorzędnych fabryk w całym kraju. Z małemi siłami założona była ta firma w r. 1888, a dzisiaj znajduje się takowa w kilku wspaniałych gmachach fabrycznych z wielu doskonałemi machinami i z jaknajlepszem urządzeniem, zatrudniając kilku set dobrze wyćwiczonych robotników. Taki postęp jest bardzo rzadki, lecz bardzo chwalebny, tak dla zarządu tej firmy, jako też dla jej wyrobów. Jako osobliwą specyalność wyrabia ta firma nowe, przez urząd patentowy w Berlinie potwierdzone papierosy i cygarylosy, zaopatrzone w chwytacz nikotyny, dlatego przy używaniu zdrowiu nieszkodzące. Wyroby p. Pokory są tanie, a przytem dobre. My jesteśmy przekonani, że każdy, kto sobie zapisze, z tych wyrobów kontent będzie. Zarazem zwracamy uwagę na zamieszczone ogłoszenie.

Na odbudowanie wieży Jasnogórskiej złożył p. Halbsgut z Meklenburgii 2 mk.

Dalsze datki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Na pomnik dla męczenników-Unitów we Lwowie nadesłał p. Stanisław Otulak z Hörde w Wesfalii 45 fenygów. Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Zebrane na ślubie p. M. Dolatkowskiego w Tulcach mk. 5,50 złożono na ręce nasze na polskie elementarze dla biednych dzieci.

Przykład naśladowania godny.

Razem złożono dotąd 10 marek 2 fen.

Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmujemy.

Śluby. Dnia 28 z. m. pobłogosławiony został w Ciążeniu pod Słupcami w Królestwie Polskiem związek małżeński pomiędzy p. Mieczysławem Zakrzewskim, synem pp. Witoldostwa Zakrzewskich z Linówca p. Mogilnem a p. Izabelą Dąmbską, córką ś. p. Stefana i Weroniki z Golczów z Ciążenia. Aktu kościelnego dopełnił po stósownej przemowie ks. mansyonarz Zakrzewski z Kościana w asystencyi duchowieństwa z okolicy.

W kościele parafialnym w Strzelnie pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy panną Heleną Pinkowską, córką ogólnie szanowanych państwa Bolesławostwa Pinkowskich z Strzelna, a panem Mścisławem Zakowskim, obywatelem ziemskim, właścicielem dóbr Łubno w Królestwie Polskiem. Aktu ślubnego dopełnił ks. prałat i szambelan Woliński w asystencyi ks. proboszcza Kittla ze Stodół i ks. proboszcza Pasztalskiego z Ostrowa. Od ołtarza przemówił do młodej pary w podniosłych słowach ks. proboszcz Kittel. Po uroczystości kościelnej podejmowali rodzice panny młodej licznie przybyłych gości weselnych z staropolską gościnnością w swym domu.

Szczęść Boże młodym parom!

Kępno. W mieście naszem mógłby bardzo dobrze istnieć interes bławatny. Wszystkie składy odnośne są w rękach żydowskich. Jest tutaj także potrzebny księgarz Polak, któryby mógł ewent. istniejącą drukarnią objąć.

Tarnowo, dnia 30 sierpnia 1900. Gospodarz Jan Olejniczak, którego budynki gospodarcze przed kilku tygodniami doszczętnie się spaliły, sprzedał swe gospodarstwo Bankowi Parcelacyjnemu w Poznaniu na Piekarach Nr. 18. Wypłata i przewłaszczenie sądowe już dziś nastąpiło. Będzie to okazya do powiększenia swego mienia dla naszych gospodarzy, którym tutaj jest bardzo ciasno, bo od kolonizacyi, która się w całej okolicy rozpostarła, nic nie dostaną.

Z parafii Janowieckiej. W numerze 31 szanownej „Pracy“ z dnia 29 lipca r. b. czytaliśmy odezwę ks. prob. Sypniewskiego z Janówca, w której jest zamieszczona prośba o składkę na przebudowanie kościoła św. Barbary, parafialnego, gdyż ten jest za szczu-

pły i niedostateczny. Tymczasem rzecz się ma zupełnie inaczej i to sprostowane być powinno, bo składki mogą zgoła nie wpływać na cel oznaczony. Pomyłka zaszła widoczna, lecz z czyjej strony nie możemy odgadnąć.

Kościół w Janówcu, który ma być przebudowanym, jest to kościół św. Mikołaja parafialny, znajdujący się w mieście Janówcu w rynku. Kościółek zaś św. Barbary i obraz tej świętej w ołtarzu w tym kościołku umieszczony, o którym wzmianka w odezwie, jako o cudownym, znajduje się tenże kościołek po za miastem na cmentarzu, zrestaurowany funduszem ś. p. ks. prob. Brysiewicza, dawniejszego proboszcza Janowieckiego, ten zgoła naprawy niepotrzebuje i celowi swojemu zupełnie odpowiada. Jakim więc sposobem tak rażąca wszystkich pomyłka w odezwie zaszła, tego zrozumieć nie można. Prosimy przeto Szanowną Redakcyą o łaskawe wyjaśnienie tej sprawy tak nas żywo interesującej.

Jeden z parafian Janowieckich.

Odezwę odebraną zamieściliśmy dosłownie tak, jak i inne gazety to uczyniły. Wyjaśnienie tej sprawy dać może tylko autor odezwy pod nią podpisany. Przyp. Redakcyi „Pracy.“

Grodzisk. Dnia 31 sierpnia umarł tu w domu p. Zygmunta Gładysza weteran z r. 1831 ś. p. Karol Gładysz urodzony w Borowym Młynie pod Pszczewem, prastarej — bo od 350 lat — w ręku familii Gładyszów się znajdującej siedzibie. Odziedziczywszy po ojcach spuściznę, pracował pilnie i umiejętnie na ojczystej glebie, pomnażając dobytek i ciesząc się domowem szczęściem. Gdy atoli nadszedł pamiętny rok 1831, wtedy i on opuścił dom, żonę i dzieci i poszedł za głosem ojczyzny wzywającej synów swoich do oswobodzenia jej z kajdan, które jej nałożyły zaborczość i despotyzm. Wynik owego powstania wszystkim wiadomy, a skończył się on także bardzo smutnie dla ś. p. Karola, gdyż kontrybucye itd. podkopały dobrobyt jego, przez co zmuszony był dotychczasową siedzibę ojców swoich sprzedać, zadzierżawiając w to miejsce folwark Byrka w powiecie międzychodzkim. Tu umarła mu żona jego wierna i nieodstępna przyjaciółka życia. Nie mogąc już z powodu podeszłego wieku nadal zatrudniać się uprawą roli, oddał dzierżawę z powrotem w ręce właściciela, a sam sprowadził się do Grodziska, gdzie w domu p. Zygmunta Gładysza znalazł upragniony spokój i opiekę. Umierając liczył 86 lat wieku. Wieczny pokój racz mu dać Panie!

Dortmund. Tutejsze Towarzystwo Spiewaków polskich „Lutnia“ obchodzić będzie dnia 16 t. m. w hotelu „Zum goldenen Löwen“ I Kampstr. uroczystość swego założenia, połączoną z teatrem amatorskim i tańcami, na którą Szanowych Rodaków jaknajuprzejmiej zapraszamy. Zarząd.

Zmarli.

† **Ksiądz Dyonizy Kolany**, proboszcz z Rogalinka, umarł w Poznaniu dnia 30 z. m. w wieku 67 lat. Niebożczyk otrzymał święcenia kapłańskie w r. 1831, przed walką kulturną był proboszczem w Kleszczewie, następnie proboszczem rządowym w Murzynnie. Później pojednał się z Kościołem i był od r. 1887 proboszczem w Rogalinku. Chorując od dłuższego czasu, przybył przed dwoma tygodniami do Poznania w zamiarze leczenia się i tu umarł w domu swego krewnego, nauczyciela p. Trzemżalskiego.

† **Eleonora** z Lenartawskich **Tomaszewska**, matka ks. M. Tomaszewskiego, wikaryusza archikatedralnego w Poznaniu; w Niemieckim Wilkowie.

† **Karol Gładysz** w Grodzisku.

† **Mieczysław Kardoliński** w Poznaniu.

† Bronisława z Jarnatowskich **Józefowa Twardowska** w Poznaniu, na Wildzie.

Niech spoczywają w pokoju!

Od Redakcyi.

Dyrekcyi Tow. „Domu Polskiego“ w Mor. Ostrawie. Za zaproszenie na uroczysty obchód otwarcia „Domu Polskiego“ dziękujemy najserdeczniej i życzymy tej narodowej instytucyi na pograniczu morawsko-śląskiem jak najlepszego powodzenia. „Szczęść Boże!“

Panu Hieronimowi R. we Lwowie. Dziękujemy najuprzejmiej. Zamieścimy później, gdyż na razie mamy dużo zaległego materyału.

Zdzisławie w W. Treść myśli — niezła, lecz wiersz niekonieczny, więc nie zamieścimy, za to prosimy o korespondencyą treściwą o tem, co się w mieście i w okolicy święci — a z podziękowaniem zamieścimy.

Sokołom w Strzelnie. Teraz już *„post festum“*, lecz przy nadarzonej sposobności, mianowicie, gdy tamtejsi Sokoli będą obchodzili swą uroczystość najchętniej zastosujemy się do życzenia. „Czołem!“

Panu Frank. w Trzemesznie. O ile nam wiadomo polskie huty szklane w Prusach i wogóle w Niemczech nie istnieją. W tej sprawie poinformuje Pana firma „Nowicki i Grünastel“ w Poznaniu, Plac Wilhelmowski. Na odpowiedź załącz Pan znaczek pocztowy.

Panu B. w Zblewie. Pomimo najszczerszej chęci tenoru dekretu i t. d. udzielić Panu nie możemy.

Panu Kr. w Z. To bardzo żle, ale na to poradzić nic nie możemy.

Kandydatowi. Już zapóźno. Tego rodzaju podania nie są już uwzględniane.

Studentowi. Programów żądanych nie posiadamy.

Czytelnikowi. Konia z rzędem temu, kto zrozumie, o co Szanownemu Panu chodzi!

P. Wincentemu Kap. w Monachium. Dziękujemy za pamięć.

P. Korol. Skiba. Serdeczne dzięki.

Panu A. K. 100 w Granowie. Sługa zgodzona w służbę na cały rok czy to na wsi, czy w mieście — nie może bez prawnej przyczyny służby opuszczać (§ 40 i 112 ordynacyi służebnej i § 620 kodeksu cywilnego.)

Humorystyka.

Wytłómaczył.

— Bartek, co ciebie tak długo nie było widać?

— A bo byłem w korcmie.

— A po cuześ był w korcmie?

— O! jaka to baba ciekawo, a to po to... żeby mnie nie było widać.

* * *

— Lekarstwa powinny być jak najtańsze.

— Dlaczego doktorze?

— Dlatego, aby wszyscy mogli chorować.

W kozie.

Stary. Ciekawa rzecz, co oni z nami teraz zrobią?

Młody. Pewnie nas powieszą.

Stary. Tyś młody, to możesz wytrzymać, ale mnie staremu to ciężko będzie.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

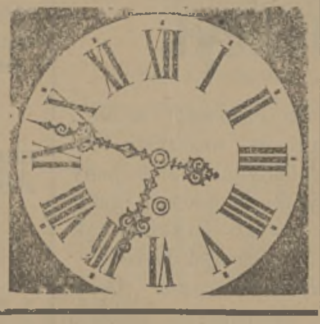
K. SUPPERT

Fachowy warsztat reparacyjny.

Poznań, św. Marcin nr. 19, narożnik ulicy Rycerskiej.
2-gi skład Poznań (Jerzyce), ulica Jadwigi nr. 5.

Potrzebny uczeń.

Odebrał świeżo i poleca
wielki
wybór zegarków
złotych, srebrnych, metalowych z najlepszych fabryk szwajcarskich, regulatorów i zegarów salonowych, budzików oraz łańcuszków złotych, srebrnych i niklowych.
Gwarancya kilkoletnia.



Złote i srebrne repetjery.

Dział wyrobów złotniczych
zawiera **najmodniejsze przedmioty** z srebra, złota i double jako to: garnitury damskie, broszki, kolczyki, bransoletki, kolje, krzyżyki, śpilki w krawat. — **Biżuteryą koralową, granatkową** itd. Pierścionki z brylantami, szafirami, rubinami lub turkusami w rozmaitych fasonach i cenach, oraz bardzo wiele przedmiotów, stósownych na **podarki okolicznościowe.** 270
Obrączki ślubne.
Ceny bardzo umiarkowane. Usługa skora i rzetelna gwarancya.

Od 1 października r. b. **skład mój artykułów dewocyjnych, obrazów szkła, porcelany i papieru** znajduje się 518
ul. Rzeczna nr. 228
w domu p. S. Skóraczewskiego.
C. Wojciechowski,
Śrem.
Oprawa obrazów w ramy po umiarkowanej cenie.

DOM
w 1894 r. budowany masiw o 10-ciu pokojach z kramem, do którego może być z dobrem powodzeniem wyszynk dołączony, z przybudowaniem i ogrodem, w bardzo ładnym środku wielkiej licz. przeszło 1800 mieszkańców wsi położony, a w której są dwa piękne kościoły, szkoły z siedmiu nauczycielami, z powodu zmiany interesu za przystępną cenę do nabycia. Zgłoszenia przyjmuje Ekspéd. „Pracy“ pod lit. *S. nr. 517.*

Handel korzeni
i cygar
istniejący przeszło 15 ście lat w głównej ulicy przy samym rynku w powiatowem mieście jest każdego czasu do oddzierżawienia pod bardzo dogodnymi warunkami. Zgłoszenia przyjmuje Eksped. „Pracy“ pod nr. 525.

Inowrocław.
W najlepszem położeniu w Rynku mam nowo przebudowany 477
skład
do wydzierżawienia.
Wąsowicz, aptekarz.

Fryzyer
Polak, zamieszkujący kilka lat w Niemczech, pragnie powrócić w rodzinne strony, zatem 521
szuka dobrej egzystencyi
w Księztwie Poznańskiem. Prosi więc o wskazanie takiego miasta, w któremby się mógł z korzyścią osiedlić.
Oferty uprasza się pod lit. **A. R. 521** do ekspedycyi „Pracy“.

Ktoby sobie życzył
w Opalenicy się osiedlić i korzystne kupno nabyć jako to parcelę pod budowę, dalej zabudowania gotowe nowo budowane, dalej dobrze prosperujący w najlepszej części miasta położony dom z dwoma handlami od dawna istniejącemi, niechaj się zgłosi do przedsiębiorcy budowli **Stanisława Szymańskiego** tamże. 499
(Uwaga). Nie żadna agencya — faktorstwa się **nie** płaci.

Bona Niemka
z Poznania, młoda i wesoła, do 2 dziewczynek od 9—5 lat, którаby umiała dzieci zająć i zabawić, po zatem drobne zajęcia przy utrzymaniu porządku w dziecinnym pokoju. Potrzeba by znała szycie wchodzące w zakres garderoby dziecinnej. 502
Pensya miesięczna 20—24 marek. Zgłoszenia przyjmuje do 10 września r. b. ekspedycya „Pracy“ pod lit. **Ch. nr. 502.**

Umeblowanego pokoju
poszukuje się od 1. X. 1900 na 1 lub 2 p. w pobliżu koszar pieszej artyleryi. Łask. oferty przyjmuje Eksp. „Pracy“ pod lit. **W. 526.**

---

2 pomocników
do handlu żelaza poszukuje od zaraz lub później 519
T. Galiński,
Jarocin.

W powiatowem mieście jest pod korzystnemi warunkami z powodu stosunków familijnych zaraz lub później na sprzedaż 486
dom
z tylnem zabudowaniem i ogrodem.
Łaskawe oferty raczą nadesłać pod lit. M. H. 276 poste restante
Gostyń.

Krytyk, oglądając obraz: — To mają być krowy? Jak żyję, takich nie widziałem.

Malarz z rozdrażnieniem: — Bardzo temu wierzę, przecież nie widziałeś pan wszystkich krów na świecie!

Wszelkie druki
wykonuje gustownie i po umiarkowanych cenach
Drukarnia „Pracy“
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Odejmowanie w sądzie.

Sędzia do skazanego na kilka lat więzienia:
— Czy skazany ma co do dodania?
— Nie, panie sędzio — odpowiada pokornie filut — wolałbym... odjąć.

— Zdaje mi się, że ja już pana gdzieś widziałem?
— Bardzo być może: jestem właścicielem lombardu.

Czelad. piekarski,
który potrafi samodzielnie pracować, znajdzie zaraz lub od 1 października stałe zatrudnienie za dobrą płacą. 516
Bliższe szczegóły piśmien.
E. Mitko, piekarz polski, Bottrop (Westf.) Prosperstr. 11.

Od 1. 10. 1900 wolne jest miejsce dla 507
kucharza
samotnego dobrego strzelca. Zasw fr. kop. zgł. post. res. **U. U. Pleschen.**

Subjekta
młodego na pierwsze miejsce obeznanego **dokładnie** ze składem żelaza i artykułami budowlanemi (znajomość korespondencyi w obu językach i buchalteryi jest pożądaną) poszukuje od 1 Paźdz. r. b. **Fr. Kaczorowski** we Wrześni. Zgłoszenia piśmienne z podaniem świadectw. 473

Ucznia
syna uczciwych rodziców, mającego chęć wyuczyć się dokładnie zegarmistrzostwa, przyjmie każdego czasu 514
W. Grodzki,
zegarmistrz w Koźminie.

Ucznia
z dobrem wykształceniem elementarnem przyjmie do Hotelu handlu towarów kolonialnych i delikatesów 513
Br. Kluczyński
w Margoninie.

Subjekta
kończący właśnie naukę z dobremi poleceniami dotychczasowego pryncypała, poszukuje od 1-go października handel kolonialny połączony z wyszynkiem. 508
H. Skowroński,
Kruświca.

Dwóch zdolnych 468
pom. introligatorskich
na stałe zatrudnienie, jako i **dwóch uczni** przyjmie od zaraz lub później
K. Kmiecikowski,
Introligatornia Poznańska i fabryka zeszytów, Poznań, ul. Wodna nr. 2, I.

2-go 483
ucznia
syna cnotliwych rodziców, z odpowiedniem wykształceniem szkólnem oraz z dobrem wychowaniem przyjmie
S. Kaja w Żninie.
Drogerya i handel kolonialny

Do mego handlu win, towarów korzennych, łakoci, cygar, nasion i nawozów sztucznych poszukuję
ucznia.
Czas nauki bezpłatnie 3 lata.
Felix Orlicki, Pyskowice G/Ś. (Peiskretscham O/S.) 449

Ucznia
przyjmie do handlu towarów korzennych, farb i destylacyi od 1-go października r. b.
St. Kazowski
w Strzelnie.

Ucznia
chłopca poczciwych rodziców przyjmie zaraz 497
A. Zbychorski
fryzyer i dentysta w Mogilnie.

Starsza osoba 479
dla wsparcia pani domu
może się zaraz zgłosić na wieś.
Frost — Barłożno
p. Kleinkrug.

---

3 uczni 488
synów porządnych rodziców, którzyby chcieli wyuczyć się krawiectwa pod nader korzystnemi warunkami przyjmie zaraz **Wiesiorek**, mistrz krawiecki, Katowice, Ul. Frydyrykowska. (Kattowitz O/Schl.)

---

4 zdolnych czeladników stolarskich na budowlaną robotę potrzebuję od zaraz jako i każdego czasu. **Borecki**, magazyn mebli i trumien z drzewa i metalu, we Wrześni. 448

— Przyszliśmy panu oznajmić, że wybraliśmy cię na prezesa. Nasze towarzystwo potrzebuje właśnie człowieka, który nie ulega żadnemu wpływowi, nie obawia się nikogo, posiada odwagę, charakter i energię.

— Mam nadzieję, że zdołam usprawiedliwić wybór moich współobywateli. Istotnie nie ulegam nikomu i nie obawiam się nikogo, ale raczcie panowie zaczekać chwilkę, muszę poradzić się żony.

„Levana“

państw. konces. Zakład naukowy i wychowawczy w Kötitz-Coswig i S. pod Dreznem.

Przygotowywania w oddziałach i pojedyńczo do wszystkich klas wyższych zakładów naukowych!

Osobne kursa dla jednorocznych i podchorążych!

Wydziały specyalne dla:
a) słabopojmujących i niezdolnych do uzysk. promocyi uczniów.
b) umysłowo zacofanych, ale jeszcze zdolnych do wykształcenia chłopców. 157

Szybkie i pewne skutki! Jednostkowe wychowanie!
Najsurowszy porządek domowy! Znakomita pensya!
Przyjęcie każdego czasu. — Prospekta wysyła **Dyrekcya.**

Do prania w wodzie źródlanej (twardej) jest bezwarunkowo najodpowiedniejsze

mydło
terpentynowo-salmiakowe

z poznańskiej parowej fabryki mydła

Ludwika Ascha w Starołęce,

które jest zarazem w użyciu najoszczędniejszem. Każdy kawałek nosi zupełne znamię fabryki, na co przy kupnie uważać trzeba. 994

Zakład wodoleczniczy i kąpielowy

w ogrodzie Lamberta ul. Rycerska 15.

Wszelkie procedury wodolecznicze.
Kąpiele ruskie i rzymskie. 395

Kąpiele elektryczne.

Kąpiele z kwasem węglowym i wszelkiemi dodatkami leczniczemi.

Szanownej Publiczności polecam najuprzejmiej mój 179

pensyonat

na ulicy Wrocławskiej nr. 14, I p., przystanek kolei elektrycznej, na dłuższy lub krótszy pobyt w Poznaniu. Pokoje urządzone z komfortem przy cenach bardzo przystępnych. Kąpiele, tusze itp.
O łaskawe poparcie uprasza

Ignacya Jezierska.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,
w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Do **handlu maszyn rólniczych** etc. istniejącego na G. Szlązku od kilku lat pomyślnie się rozwijającego poszukuje się

wspólnika

z kapitałem celem powiększenia interesu. Oferty przyjmuje Espedycya „Pracy“ pod lit. **K. nr. 522.**

Trafna kuracya.

— Panie doktorze! cudu dokazałeś. Oto wziąwszy panią N. w kuracyą, nie kazałeś jej kupić bicykla i pozbyła się tuszy. Jakim sposobem się to stało?

— Oto, codziennie zakomunikowałem jej jaką nową sensacyjną, często nawet zmyśloną wiadomość, a ona nie dała sobie spokoju, tylko coprędzej odwiedzała przyjaciółkę jedną po drugiej i tak nabrawszy ciągłego ruchu — schudła.

Spółka Stolarska

w Swarzędzu

poleca swój 411

wielki

magazyn mebli

z dobrego materyału i własnego wyrobu.

Ceny przystępne.
Usługa skora.

Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

CYGARO

w cenie hurtownej 15—25% taniej jak detalicznie, polecam jako bardzo ulubione, wybornego smaku następujące gatunki:

Intelecto	za 100	sztuk	2,50 m.
Alma	„ 100	„	2,75 „
La Plata	„ 100	„	3,00 „
Fides	„ 100	„	3,30 „
Quodlibet	„ 100	„	3,50 „
Carino	„ 100	„	4,00 „
Birma	„ 100	„	4,50 „
Berolina	„ 100	„	5,00 „
Lopez	„ 100	„	6,00 „
Carmen	„ 100	„	7,00 „
La Rosedor	100	„	8,00 „
La Espanola	100	„	10,00 „

Oprócz powyższych polecam mój wielki zapas dobrze odleżałych cygar, zwłaszcza tańszych dla sprzedających z drugiej ręki. Przy odbiorze 300 sztuk wysyłam franco. Papierosy, tytunie tureckie i rosyjskie oraz gilzy w wielkim wyborze poleca 75

T. Łaganowski, Poznań,
Chwaliszewo nr. 2.

Tylko kapsułki Sanidowe

(10 gr. San., 3 Sal. 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Zadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057

Skład główny: **L. Hofmann,** apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Zielona Apteka

Edmunda Dzierzgowskiego
Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca **wszelkie środki zagraniczne i krajowe** oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.
$1^1/_2$ minuty od placu Piotra.

Wąs okazały!



Kto jeszcze nie posiada tej najpiękniejszej ozdoby każdego mężczyzny, ten niech użyje mego słynnego na świat cały balsamu do wąsów „**Kommelin.**“ **Skutek pod gwarancyą w kilku tygodniach** Cena za puszkę Nr. 1. 2 m., Nr. II. 3 m., Nr. III. 5 m. Porto 20 fen., zaliczka 20 fen. więcej. **Żadne oszustwo,** jak dowodzi następujące pismo uznania: Pewien pan E. Laurenz, kantyna strzelców w Ortelsb. pisze pod dniem 9-go lipca 1900. Ponieważ Pański „Kommelin“ już u mnie okazał się skutecznym, zatem proszę o **jeszcze jedną puszkę Nr. II.** Do każdej przesyłki dołącza się przepis użycia. Tylko prawdziwy do nabycia u **Roberta Husberg, Neuenrade** Nr. 30, Westfalia. W razie skutku niepomyślnego zwraca się należytość. 458

Stolarnia

budowli, mebli i urządzeń biurowych.

Specyalność: 506

urządzenia składowe

w najnowszym stylu.
Wykonanie artystyczne.

P. Rejminiak,
Poznań, Bramkowa 11.

Fortepiany

najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dźwięcznym głosie, nowe i używane, poleca tanio 505

A. Drygas,
ul. Rycerska nr. 33,
naroznik św. Marcina.

Tapety

w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190

Elbląski interes wysyłkowy tapet
C. Quintern, Elbląg (Elbing).

„Każdy chory“

odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadesłać pod lit. **T. D. 409.** do eksped. „Pracy“. Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409.

Hyacynty

w dziesięciu kolorach

(prawdziwe haarlemskie) mianowicie 2 białe, 2 czerwone, 2 niebieskie, 2 żółte, 1 różowy, 1 purpurowy po 1,50 mk. do doniczek po 2 mk. do naczyń szklanych. Szczególniej polecam moje słynne **hyacynty z nazwiskami** i to 10 sztuk w dziesięciu przepysznych gatunkach do doniczek po 3 mk., do naczyń szklanych po 4 mk. **Hyacynty z nazwiskami są najlepsze!** Broszurkę moją, ozdobną w piękną kolorową rycinę, przedstawiającą hyacynty, dołączam gratis do zamówień, bez zamówienia za nadesłaniem **30 fen.** 420

Friedr. Huck w Erfurcie
(Erfurt 27 e).
Adres telegr.: **Hyazinthenhuck.**

18% Superfosfat à 3,75 za centnar. 485
18% Tomasówke à 2,90 za centnar.
Kajnit à 1,60 za centnar w miechach poleca

K. Stark — Żnin.

Dobrze prosperujący
Magazyn

kapeluszy damskich

w Katowicach

położony na jednej z najlepszych ulic jest pod korzystnemi warunkami zaraz do nabycia. Dla kupca Polaka lub Polki z kapitałem 3—4 tyś. mk. **nadarza się rzadka sposobność** do dobrej i pewnej egzystencyi. Zgłoszenia przyjmuje

W. Czaplicki,
Kattowitz O/S. 472

Niniejszem podaję do wiadomości, iż mój 504 **Salon golarsko-fryzyerski i spuszczania włosów** przeniosę od 1-go października z ul. św. Marcina 58 **na ulicę Wodną nr. 8.**

Polecam się nadto do wyrywania zębów i leczenia nagniotków. Abonament w domu i po za domem.

Z wysokim szacunkiem
Jan Śmiełowski,
cyrulik i fryzyer.

Wiele 1000

cierpiących na kaszel i płuca zawdzięcza swe ocalenie mej słynnej na świat cały kuracyi t. zw. 515

American coughing cure.

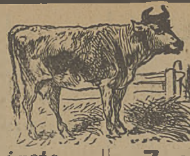
Kaszel i wyrzucanie flegmy ustaje już po dniach kilku, tysiące osób wyzdrowiało. Katar, chrypka, zaflegmienie i świerzbienie w gardle ustają natychmiast. Cena za flaszkę 2,50 m., za 3 flaszki 6 marek za zaliczką lub też poprzedn. nadesł. pieniędzy. Niezamożni otrzymają preparat za pośw. władzy miejsc. lub też księdza za połowę ceny.

Skład generalny: **Oskar Lutze,** Berlin-Reinickendorf (West.)

Poszukuje się dla młodego kupca 524

interesu kolonialnego
i delikatesów
z wyszynkiem

celem zadzierżawienia. Łask. oferty z podaniem warunków proszę przesyłać do eksped. „Pracy“ p. lit. **K.** nr. **524.**



Leistungsfähigste
Bayerisch. Zugochsen
aller Rassen
wie:
Rote Voigtländer
Böhmische-
Bayreuther-
Hofer-
Simmenthaler-
Miessbacher-
Ueberläurer (Pinzgauer)
u. gelbe Scheinfelder-
Schecken,

Zucht u. Milchvieh
aller Höhen und Niederungsschläge,
wie der:
Simmenthaler,
Schwyzer,
Ostfriesichen,
Oldenburger,
Altmärker,
Wilstermarsch,
Breitenburger
und **Angler Rasse**

sowie 6—24 Monate alte Kälber dieser Rassen empfiehlt franco jeder Bahnstation 1110

Leopold Engelmann, Weiden, Bayern.
Correspondenz deutsch oder französisch erbeten.

Każdego czasu poleca

Wybór

tylko sumiennie rekomendowanych
Urzędników gosp.
wszelkich stopni,
Gorzelanych,
Podgorzelników,
Leśnych,
Borowych i t. d.
bez wszelkich kosztów
DRWĘSKI & LANGNER
Centralne Bióro Zleceń
w Poznaniu, ul, Rycerska 38.
Założ. w r. 1876. **Telefon Nr. 1246.**
Firma sądownie zapisana.

Pierwszorzędna Krotoszyńska
fabryka papy i holzcementu
J. Sierodzki
(zał. 1896 r.) w **Krotoszynie** (zał. 1896 r.)
poleca swój
naiwiększy skład angielskiej smoły węglanej, asfaltu, holzcementu, tektury ogniotrwałej, li tylko w najprzedniejszych gatunkach, jako też ***wszelkich materyałów do pokrycia dachów,*** po jak najtańszych cenach, dostawiając w prowincyi franko do każdej stacyi kolejowej; i wykonuje: ***pokrywanie dachów*** dwupokładowych, pojedyńczych papowych i z holzcementu, jako też ***reperacye i renowacye*** starych dachów pod gwarancyą i po nader niskich cenach. 251

Podciągi (tragarze)
filary, okna
i wszelkie inne artykuły do budowli
poleca 72
w wielkim wyborze
i po przystępnych cenach
T. Krzyżanowski,
Poznań,
Szewska ul. 17.

Do sprzedania
folwark
w powiecie poznańskim, 2 kilometry od dworca.
Obszar 350 mórg.
Ziemia przeważnie pszenna, łąki piękne. Gotówki potrzeba na kupno 20—25,000 mk.
R. Koczorowski,
Strzelecka 3 B.

Słabość męzką
skutki szczególn. tajnych grzechów młodości, oraz innych nadużyć, niszczących zdrowie. jak pewno i trwale usunąć, poucza jedynie w licznych wydaniach rozpowszechniona już książka illustrowana 187
Dr. Retau'a
Ochrona własna.
Cena wydania polskiego 1 markę.
Cena wydania niem. 3 mk. Tysiące znalazło w niej objaśnienie swych cierpień, a za użyciem kuracyi w książce tej zalecenej zupełną swą siłę męzką. Za nadesłaniem franko przez Magazyn wydawnictw R. F. Bierey w Lipsku (Verlags-Magazin Leipzig, Neumarkt 21.) W Poznaniu dostać można w księgarni **A. Spiro,** napr. poczty.

Piękne loki bez szkodliwych nożyczek do palenia natychmiast tylko za pomocą Kuhna patentowanego Sadulinu (60). Kuhna pomada Sadulin w słojkach (80). Prawdziwe tylko u Fr. Kuhna, skład perfumów pod koroną, Norymbergia. Tutaj: u M. Levy'ego, drogerya, plac Piotra 2 i P. Wolff'a drogerya, plac Wilhelmowski 3. 1062

Ból zębów
spróchniałych
usuwa natychmiast na pewno **„Krepp'a wata do zębów** (20% waty Carvacrol) za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi. B. Śniegockiego i u Pawła Wolffa, plac Wilhelmowski 3.

Stanisław Brzozowski
mistrz ślusarski,
100 ***Poznań,***
Wielkie Garbary 45.
Fabryka i skład
gotowych **krat** do grobów i **pomników** z całkowitem ustawieniem; **płyty ozdobne** ze szkła i marmuru. Ceny umiarkowane.

Technikum Sternberg
Mekl.) budowa machin, Elektrotechnika, budowa nad i podziemna, stolarzy i cieglarzy. 165

Fabryka ogniotrwałych tektur na dachy (papy) asfaltu i przetworów smołowcowych
Sobecki & Wrzesiński
w Poznaniu 122
poleca asfalt, papę na dachy w rozmaitych gatunkach, asfaltową papę na fundamenta, kit włóknisty, mastyks i lakier na dachy, smołę preparowaną, lepnik (Klebemasse), holccement, gwoździe (papiaki), carbolineum gudron, asfaltowy filc na dachy itd. itd.
Biuro: w Poznaniu, ul. Wilhelmowska 20. Fabryka: w Głównie pod Poznaniem.

Chcąc się w przyszłości poświęcić wyłącznie instalacyi elektrycznej, **wyprzedaję** od 1-go lipca wszelkie **towary** wchodzące w zakres **optyki, mechaniki i kołownictwa** po każdej możliwej cenie. W danym razie gotów jestem **sprzedać od razu** rzeczone wydziały przedsiębiorstwa mego dające **utrzymanie dostateczne dla rodziny.**
F. BISKUPSKI, Poznań, Berlińska ul. 11.
Firma fundowana 1880 roku.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

Nowość! **Nowość!**
15 rozmaitych
kart korespondencyjnych
z widokami zdjętemi z obrazów **Jana Matejki** w pięknej teczce, która może być ozdobą każdego salonu, poleca
za tylko 1 markę.
Skład papieru
i materyałów piśmiennych
„Atlas"
W. Kostrzewski,
Poznań, Stary Rynek nr. 48.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

B. Sadowski,
jedyny polski fachowy zegarmistrz
w Krotoszynie (Krotoschin).



poleca prawdziwie dobre zegarki, zegary i t. d. Zegarki męzkie, srebrne, rem. lub klucz. po 7,50, 9, 11, 13, 15, 18 do 30 mk. Zegarki srebrne z wizerunkiem Matki Bozkiej rem. lub klucz. po 10, 12, 14, 17, 21 i 23 mk. Zegarki damskie złote po 15, 18, 21, 25 do 100 mk. Regulatory, zegary stołowe i ścienne, budziki, tylko w naj lepszych gatunkach Obrączki ślubne, pierścionki, broszki, kolczyki, krzyżyki etc. w wielkim wyborze. Ceny tanie! Gwarancya długoletn. Wymiana towarów dozwolona. Cennik wyselam darmo i franko. Ażeby uniknąć pomyłki, proszę bacznie zważać na firmę, ponieważ istnieje tu jeszcze jeden skład zegarów z podobnym nazwiskiem, prowadzony przez niefachowca 463

---

50 dobrych cygar i papierosów
za darmo.
Polecam moje tylko z najlepszego tytuniu wyrabiane, wybornie smakujące **„Cygaro Krakowskie."** Takowe rozsyłam 500 sztuk za 8 m. 50 fen. franko przez zaliczkę. Ażeby Szanownych Rodaków także przekonać o dobroci innych moich wyrobów, dołączam jeszcze 50 dobrych cygar i papierosów i 5 pięknych kart korespondencyjnych całkiem darmo. 523
P. POKORA, fabryka cygar,
Wejherowo (Neustadt Westpr.) nr. 237a.